Nr. 34. Poznań, Niedziela 25. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Piąty międzynarodowy zjazd kryminologów w Paryżu.

Kongres ten, piąty z rzędu (pierwszy londyński, 1872 r.) świetnością zaćmił wszystkie poprzednie. Zjechało się około 780 członków ze wszystkich krańców świata: Anglii i Japonii, Norwegii i Grecyi, Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i Nikaraguy, Chili, Argentyny i Brazylii — w tej liczbie wiele dam, które, według niezbyt zręcznego komplementu jednego z członków kongresu, przypominały „wieniec żywych kwiatów“. Dodać zaraz trzeba, że świat uczonych nieskończenie szczuplej był reprezentowany niż dygnitarzy sądu i administracyi. Tak n. p. cała włoska szkoła kryminologii, prócz Garofala i Sergi'ego i dwóch do trzech innych, pozostało w domu, między nimi i Lombroso; a przecież Włochy przysłały aż 32 członków. Ponieważ uważano sobie za punkt honoru sprawić przyjęcie, jak przystało na „dzielnych ludzi“ (słowa inspektora generalnego przy min. spraw wewn., Puibarand'a), urządzano więc bankiety wszędzie: u prezydenta rzeczypospolitej, ministra spraw wewnętrznych, w Radzie municypalnej Paryża, ratuszu, na wieży Eiffel, Sekwanie, w Palmarium Jardin d'acclimation, na wycieczkach do Nelun, Fontainebleau, Sévres, St. Cloud, Nanterre, Montesson, Guillon i t. d.

Cztery sekcye kongresu miały nazwy: I) prawodawstwa karnego, II) kwesyi plenitencyarnych, III) środków zaradczych, IV) spraw dotyczących nieletnich. O ile widać z samych nazw, jak również z programu i treści rozpraw, prowadzonych w sekcyach i na zebraniach sekcyi połączonych, nie zajmowano się wcale sprawami kryminologii ogólnej: zbrodnictwa, odpowiedzialności i t. p. Ale w „sekcyi piątej“, na bankietach, kiedy butelki i serca otwierały się z uprzejmością i zapałem, można było słyszeć, że gwiazdą przewodnią wszystkich prac jest „sprawiedliwość litościwa“, współczucie dla przestępców, których trzeba leczyć a nie karać, pielęgnować a nie opuszczać, podnosić z upadku a nie niszczyć; przezorność, która występkom zapobiega; dobroć, która wierzy w poprawę człowieka i nigdy nie opuszcza rąk. Niepodobna też nie odczuć tego tchnienia ludzkości i prawdziwej nauki w wielu wnioskach i ich roztrząsaniu, zwłaszcza na posiedzeniach sekcyi V-tej, zajętej małoletnimi. Ale bywały rozstrzygnienia kwestyi, a nawet całe potoki rozpraw, które stoją w zdumiewającej sprzeczności z tem wszystkiem. Takiem na przykład jest posiedzenie d. 2 lipca sekcyi II-giej, które wywołało niemal oburzenie w większej cześci prasy paryskiej. Warto się temu przysłuchać. Kwestya była następująca: Czy więźniowie mają prawo do zapłaty za swą pracę w więzieniu?

Czy też wytwór ich pracy powinien być użyty przedewszystkiem dla pokrycia kosztów utrzymania skazańców tej samej — co pracujący — kategoryi, po potrąceniu części wytworu, która ma być zatwierdzona dla każdego z nich i części, która ma być rozdawana w postaci wynagrodzeń, gratyfikacyi, najbardziej godnym?

Po odczytaniu streszczenia referatów przedstawionych, rozpoczyna się dyskusya. Napróżno dyrektor więzienia brukselskiego, Stevens, usiłuje walczyć z mniemaniem powszechnem i dowodzi, że chociaż więzień winien część pracy państwu, ono ze swej strony winno jest mu dać zapłatę i że w ten sposób stwarza dla niego bodziec do pracy: chęć oszczędzania. Guibaraud, ten sam, którego Jagemann żartem nazwał „prezesem sekcyi piątej“, nie chce nic widzieć prócz tego, że skazani są dla państwa przyczyną wydatków stałych i znacznych i że przeto całą swą pracę powinni oddać więzieniu. Napróżno prezes rady państwowej szwajcarskiej Dunant zwraca uwagę na umoralniający wpływ płacy, a Cremieux, adwokat z Paryża, wskazuje przykład kodeksu francuskiego, art. 41. Prof. Brusa z Turynu, zamykając jedno oko, woła, że praca więzienna ma wprawdzie na celu poprawę przestępcy, ale stąd nie wynika prawo do płacy. Bouillard, szef jednego z biur ministeryum spraw wewnętrznych we Francyi, popiera go swem przekonaniem, że przestępca po uwolnieniu roztrwania zawsze zarobione w więzieniu pieniądze. A dyrektor więzienia w Passy, Laguesse, zaznacza, że zarobek dzienny więźniów dochodzi do 5 fr., i że to już zbyt „pyszne więzienie“. Dyskusya jeszcze się przeciąga, ale wszyscy przewidują jej wynik głosowania; przekorni wycofują się, wskutek czego „jednomyślnie“ uchwalono wniosek: 1) więzień nie ma prawa do płacy; 2) w interesie państwa leży, aby dawać gratyfikacyę więźniowi.

Na zebraniu ogólnem sekcyi, przeciw wnioskowi powstają jeszcze niektórzy, między innymi pani Pognon, stojąca na czele feministek francuskich; lecz przechodzi on większością głosów. Znany autor dzieła „La France criminelle“, Jolly, zapewniał sprawozdawcę dziennika „L'Eclair“, że wielu członków po posiedzeniu wyrażało mu żal, iż głosowało za wnioskiem. Gdyby to po bankiecie! Ale przed południem, dopiero zaś wieczorem odbył się bal w pałacu Elizejskim.

W czterech swoich sekcyach zjazd rozpatrzył 30 kwestyi. Jest też niepodobieństwem w krótkiem sprawozdaniu nawet przelotnie dotknąć wszystkich. Zaznaczę przeto tylko wnioski niektóre, najciekawsze, stanowiące rys charakterystyczny V kongresu, zwłaszcza te, które dotyczą małoletnich.

W sekcyi I, sprawa zsyłania zabrała stosunkowo dużo czasu, bo parę dni, zaogniła spór pierwszorzędnych powag naukowych i mówców takich, jak n. p. Spasowicz i Leveillé ze „Szkoły kolonialnej“. Postanowiono, że użytecznem jest zsyłanie tylko jako kara za przestępstwo ciężkie i środek przeciwko zatwardziałym recydywistom.

Ta sama sekcya zatwierdziła wniosek, aby ukaranie przestępcy pociągało za sobą odszkodowanie ofiary z tego, co skazaniec posiada, lub z tego, co zarobi w więzieniu, albo z innego źródła, nad czem ma obradować następny kongres międzynarodowy.

W kwestyach włóczęgów i żebraków rozprawy doprowadziły do przyjęcia uchwały, iż jedynym środkiem, który zaradza złemu, bo działa na najbliższą przyczynę tych zjawisk, jest wyszukanie pracy dobrowolne lub przymusowe, do czego niezbędnem jest stworzenie kolonii i odpowiednich domów pracy.

W sekcyi II rozprawy dość żywe nad kwestyą tak doniosłą jak warunki więzienne kobiet nie mogły doprowadzić do żadnych wniosków określonych i zatrzymały się na mglistem oświadczeniu, że przepisy więzienne powinny być różne dla kobiet i mężczyzn pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym.

W sprawie ćwiczeń, które mają oddziaływać dodatnio na przestępcę, sekcya stanowczo oświadczyła się za pracą fizyczną celową i użyteczną, a przeciw gimnastyce.

Ciekawym i głęboko sięgającym jest projekt sekcyi III, aby przy więzieniach istniały szkoły, biblioteki i — rzecz dowcipna — aby było wydawane pismo tygodniowe dla więźniów, z wiadomościami społecznemi i politycznemi, w celu nieodrywania ich od świata, a na odwrót, zaznajamiania z wypadkami, obchodzącymi wszystkich, i w ten sposób rozwijania w nich instynktu społecznego.

Wnioski sekcyi IV pozwolę sobie w rysach najogólniejszych, ale w całości, zaznaczyć.

Przedewszystkiem wiek, do którego sędzia może uwolnić od kary przestępcę nieletniego, dla przyczyn z niedojrzałości wynikających, czyli tak zwana nieletność karna, kończy się z rokiem 18-tym. Ale przestępca nieletni, powyżej lat 16, umieszczony w zakładzie po-

prawczym, musi być trzymany zdala od młodszych.

Ważnym środkiem, przeciwdziałającym zwyrodnieniu dziecka, jest wyrwanie go z otoczenia rodziców „niegodnych“; wskutek tego trybunał powinien usuwać opiekunów takich od władzy rodzicielskiej i składać ją w ręce państwa za pośrednictwem „towarzystw patronalnych“.

Dzieci, które przestępstwo popełniły, powinny być umieszczane w specyalnych zakładach, mających charakter poprawczy i wychowawczy. Po odebraniu wystarczającego wykształcenia szkólnego i zawodowego, i tylko wobec pewności, że nieletni przestępca będzie strzeżony i że pracę dostanie, może on być wypuszczony na wolność tymczasową. Wogóle „opieka administracyjna“ powinna trwać do pełnoletności.

Dla zapobieżenia żebractwu i włóczęgostwu należy karać rodziców, popychających do tego swe dzieci, odbierać im władzę rodzicielską; uczciwym zaś, lecz nie mogącym czuwać nad swemi dziećmi, pomagać przez udzielanie ulg szkólnych i stwarzanie instytucyi jak ochrony, przytułki i t. p. Co do sierot, należy je umieszczać w ochronach czasowych, gdzie uczyłyby się pracy.

Za jeden ze środków, który najsilniej odradza organizm i ducha, uważa sekcya pracę zawodową, głównie na roli, a zatem na powietrzu.

Wreszcie sprawa prostytucyi wśród dzieci poruszyła wszystkich członków, zwłaszcza senatora Bérenger'a (o uwalnianiu od pierwszej kary za nieciężkie przewinienia i doliczaniu jej przy recydywie), ośmieszanego, szczególnie przez młodzież i artystów, za projekty przeciwko nieprzyzwoitości publicznej. Uchwalono konieczność umieszczania tych dzieci nieszczęśliwych — wśród nowych warunków życia: w odpowiednich zakładach wychowawczych. Ale ponieważ sekcya uważała kwestyę za mało opracowaną i zgłębioną, pozostawiła ją do przyszłego zjazdu.

Na zakończenie słówko o Japonii. Od 1867 r., t. j. od początku panowania obecnego jej cesarza Meidżi, wiadomo, jak gwałtownie wyzbywa się ona swej zeschniętej starej skóry azyatyckiej i nie opuszcza sposobności nauczenia się czegokolwiek lub pokazania swych zdobyczy. Na kongresie ogólny podziw wzbudziły wspaniałe wydawnictwa: tłomaczony przez Kadgi'ego „Rys historyczny urządzeń karnych i penitencyarnych w Japonii“, Tokio, 1895, 6 tomów in folio, i „Regulamin więzień w Japonii“, przełożony na francuskie przez Takedę, z 4 atlasami in folio rysunków kolorowanych i planów. Na posiedzeniu zebrania ogólnego, senator Teofil Roupel dał pobieżny szkic dziejów prawa japońskiego, który wystarczył jednak dla potwierdzenia raz jeszcze tej hipotezy, iż ewolucya prawa u wszystkich ludów przechodziła okresy jednakie.

al-Bar.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Mileszewy uratowane! Na odbytej przed kilku dniami w Poznaniu na radzie familijnej postanowili spadkobiercy oprzeć się na decyzyi sądu opiekuńczego i kontrakt z panem Paruszewskim zerwać. Równocześnie postanowiono dla wyjaśnienia całej sprawy ogłosić oświadczenie. Wyjmujemy z niego następujące ustępy:

„Gdy dzierżawa w r. b. się skończyła, zniewoleni byliśmy starać się sprzedać Mileszewy celem działów, a to tem więcej, iż z administracyą prowadzoną na wspólny rachunek smutne zrobiliśmy doświadczenia. Ci, którym chętnie bylibyśmy oddali majątek, nawet z znacznemi ustępstwami, zbyt śmiałe co do ceny mieli pretensye. Nadarzali nam się rozmaici kupcy Polacy, podający 330—350 tysięcy marek i więcej, ale później z niewiadomych nam powodów od zamiaru kupienia Mileszew odstępowali Wolno nam było domyślać się, iż ludzie, którym na tem zależało, by Mileszewy nie zostały sprzedane, użyli właściwych do tego sprężyn, a domysły nasze dowodami zostały stwierdzone.

Wobec tego musiano przyspieszyć sprzedaż Mileszew, i tej to właśnie okoliczności przypisać wypada, iż niedość z naszej strony liczono się z złośliwością i przebiegłością ludzką, by przed ich wpływem się ustrzedz.

Żaden atoli z spadkobierców nigdy nie objawił zgodności z tem, a nawet nie przypuszczał możliwości, aby Mileszewy przeszły w ręce niemieckie, a tem mniej w ręce kolonizacyi.

W tej też to myśli plenipotentom naszym już w zeszłym roku wystawione zostało upełnomocnienie, w tym też to duchu uczciwie i sumiennie nasi pełnomocnicy działali.

Ostatni sprzedali Mileszewy p. Wł. Paruszewskiemu, który słowem honoru zobowiązał się zastosować się do żądań spadkobierców, aby majątek w obce nam nie dostał się ręce. Kupujący spodziewał się przez rozparcelowanie części majątku pozyskać tyle, by utrzymać się przy zmniejszonej wsi (Restgut) i w tem właśnie chcieli mu pełnomocnicy w myśl spadkobierców dopomódz.

Zarzut, jakoby p. Paruszewskiego nie mogli pełnomocnicy uważać jako takiego, który dla siebie kupuje, jest bezpodstawny, gdyż p. Wł. P. posiadał 28,000 marek majątku po matce, a 8000 marek przyrzekł mu jeden z krewnych pożyczyć na kupno Mileszew, których nabycie chcieli mu nawet na jego życzenie ułatwić panowie plenipotenci, przyrzekając, iż części działów na nich przypadające pozostawią kupującemu na majątku.

Pan P. oglądał majątek przed sprzedażą; zaliczki nie potrzebował płacić żadnej, bo kontrakt nie był jeszcze prawomocnym, w skutek zależności od potwierdzenia sądu opiekuńczego w Strzelnie.

Niestety p. Wł. P. nadużył zaufania, złamał dane słowo i sprzedał majątek jakiemuś panu Starckowi, przedstawionemu już dawniej przez adwokata pana Wyczyńskiego p. p. plenipotentom, a z którym ci, dowiedziawszy się kim jest, w żadne układy wejść nie chcieli. Pan Paruszewski sprzedał, jak się zdaje, z namowy swego długoletniego mentora i tajnego wspólnika pana Niedrowskiego, i uczynił to bez wiedzy bliższej swej rodziny, nawet ojca, lecz, o czem jesteśmy przekonani, w tej dobrej wierze, że p Starck kupuje li tylko dla siebie. Skoro się atoli dowiedział o rzeczywistem niebezpieczeństwie, iż przez p. Starcka wieś nabyta dostać się może w ręce kolonizacyi, pełen skruchy oświadczył gotowość czynienia wszystkiego, coby się mogło przyczynić do zniesienia kontraktu i rzeczywiście dobrowolnie dnia 16 b. m. kontrakt z pełnomocnikami zawarty cofnął, a dnia 17 b. m. doniósł pełnomocnikom, iż p. Starck wiadomość o zniesieniu kontraktu przyjął zgodnie

Jakiego rodzaju był kontrakt p. Paruszewskiego z panem Starckiem, nikt z nas nie wie, bo nikt z nas nie był przy jego zawarciu, ani też o jego istnieniu nie wiedział.

Raz jeszcze powtarzamy, iż ręce nasze w całej tej sprawie są czyste, a sumienie nasze nic nam nie zarzuca, to też wzywamy publicznie wszystkich oszczerców, by nam przeciwieństwa udowodnili, nie mogąc zaś, by krzywdę wołającą o pomstę do Boga starali się odwołaniem zarzutu naprawić“.

—

Do oświadczenia tego dodaje „Dziennik Poznański“ następującą uwagę:

„Cokolwiekbądź, wobec frymarki i szacherek ziemią polską dziennikarstwo nasze ma zasługę, że wystąpiło energicznie, i ono obok rodziny ś. p. Ign. Łyskowskiego uratowało Mileszewy. Może teraz sprzedawczyki, którzy z podniesioną głową chodzą po świecie, poczują się do wstydu.“

—

W „Gońcu Wielkopolskim“ czytamy:

„Z Wystawy. Wedle krążących na mieście wieść ma się odbyć rozdanie nagród i premii wystawcom już w sobotę dnia 24 b. m. Pisząc o tem, przestrzegamy przemysłowców Polaków na prowincyi mianowicie przed tem, aby się nie zapatrywali różowo na wyroki sędziów poszególnych oddziałów

Przy wyborach sędziów w pojedyńczych oddziałach zaspali Polacy — jak zwykle — sprawę, a jedynie w oddziale szewskim i siodlarskim uwydatniła się praca agitacyjna przemysłowców tak wyraźnie i skutecznie, że działy te wybrały przeważnie sędziów Polaków.

Wobec strat materyalnych, na które bardzo, ale to bardzo znaczna część przemysłowców obsyłając wystawę się naraziła, uważamy premiowanie za rzecz podrzędną. Z Polaków nie znajdziemy zapewne nikogo, któryby ubolewał, gdy go minie medal lub dyplom szwabskiej „rządowo“-prowincyonalnej wystawy.

Na zapytanie nasze, w jakim języku bite będą medale i drukowane dyplomy dla Polaków, nie raczył

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON.

Zgadłaś pani.

WANDA (*z oburzeniem*).

Jeżeli pan masz na myśli wprost niecną recenzyę Kuryera...

LEON (*przerywa*).

Niecna, bo bez kadzidła!

WANDA (*j. w.*)

Bo potworcza!

LEON.

Na to dowodów nie ma.

WANDA (*gorzko*).

Naturalnie! Ani trybunału, ani paragrafu w kodeksie. Wolno nam odebrać wszystko, aż do twórczości! (*uspakaja się*). Zresztą mniejsza. Ja tworzę, to nagroda sama w sobie. Nieś ciężar sławy, Kaziu!

LEON.

Szczególna własność zatrucia wszystkiego — i ranienia ludzi nawet ich powodzeniem!

WANDA (*szydersko*).

Masz pan słuszność; — tego przecie doznaję.

LEON.

Ależ ja tu nie mówiłem o pani i Kaziu!

WANDA (*z ironią*).

Nie myśl pan, bym nie odczuła jego intencyi, co trudnem nie jest, wziąwszy w rachubę jednostajną jego, lecz daremną chęć zranienia mnie.

LEON (*tryumfująco*).

Jednak ubodła panią krytyka.

WANDA.

Oburzyła!

LEON (*z uczuciem przewagi cedzi słowa*).

Nie przypuszczam, byś pani podpisywała swe nazwisko pod utwory męża; inaczej rozumiem to odbieranie twórczości; mianowicie, jako przejęcie się indywidualizmem męża, rozwinięciem jej i tworzeniem pod jej wpływem; dowodzi tego choćby fakt wielkiego podobieństwa utworów pani z kompozycyami Kazia, z kompozycyami wcześniejszemi od pani.

WANDA.

Ja... ja się przejęłam! (*hamuje się, gorzko*) Bronić nie mogę tym razem sprawiedliwości, bo sprawa ta mnie dotyczy, a objektywnego rozsądzenia spraw osobistych nie pojmujecie. Wiedz pan tylko, że popełniasz psychologiczną omyłkę... absurd — i krzywdzisz mnie, jak tylko niechęć ludzka człowieka skrzywdzić może.

LEON.

Nie jestem niechętny, chcę być sprawiedliwym tylko; żałuję tylko, że obrony pani słyszeć nie będę, miałbym sposobność podziwiania jej dyalektyki.

WANDA (*wstaje*).

A ja, że dłużej nie dam panu sposobności zaostrzania tępej ironii (*wychodzi*).

KAZIMIERZ.

Coś ty zrobił! Obraziłeś ją!

LEON.

Idź ją przeproś za mnie; ja jej się za ciebie odwdzięczam.

KAZIMIERZ.

Nie rób tego, proszę cię. Ona jest dobra dla mnie.

LEON.

Pan mąż obawia się przyszłej awantury.

KAZIMIEZ.

Nie znasz jej... Ma wstręt do wszelkiej trywialności.

LEON.

Zapewne! Trywialnem nie jest to deptanie ciebie, to wywyższanie się twym kosztem: ależ ona mówi o tobie, jako o głupcu! A przyznaj się, ile razy pomagałeś jej w pracy?

odpowiedzieć ani komitet, ani też żaden z członków jego Polaków. Wobec nader biernego stanowiska, jakie członkowie Polacy — z chlubnym wyjątkiem p. p. Ofierskiego i Krysiewicza — zajmują w obradach i pracach Komitetu — nie mamy się czego na tem polu spodziewać.

Wystawa poznańska pod złemi rozpoczęła się dla Polaków auspicyami — i skończy się dla nas również smutno, jak wszelkie prace społeczne nasze, rozpoczynane „od dachu“, a nie od „fundamentów“. Że tak się miało z wystawą, tego dowodem fakt, że przez cały peryod przygotowań i trwania jej nie odbyło się ani jedno zebranie polskich przemysłowców z wyjątkiem owej chwili, gdzie wyrzucono język polski z wystawy. Pod względem organizacyjnym, agitacyjnym i harmonijnego wystąpienia na zewnątrz szli przemysłowcy nasi przez cały czas samopas, przyczem niejednemu dostały się jeszcze moralne cięgi,

Samopas też zejdziemy z wystawy — z nosami spuszczonemi na kwintę.“

—

W sprawie „wspólnego“ obchodu uroczystości pamiątkowych wojny 1870-71, do którego wzywano także ze strony niemieckiej w kilku wypadkach Towarzystwa polskie „Orędownik“ pisze:

„Prawda to, że Polacy walczyli w tej wojnie, że krew swą przelewali, że uznano ich waleczność i poświęcenie. Polacy spełnili sumiennie swój obowiązek i o tem bardzo dobrze pamiętają. Ale pamiętają też coś więcej.

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej nastała walka kulturna, która nam pędziła do więzień Biskupów, księży i wiernych, a kościoły zamykała?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej wyrugowano nasz język polski z szkół, urzędu i sądu?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej wydalono dziesiątki tysięcy Polaków z Prus za to jedynie, że byli Polakami?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej przyszły na nas ustawy antipolskie, przyszła 100 milionowa ustawa kolonizacyjna, która skupuje ziemię polską, żeby ziemia ta nie wróciła do rąk polskich.

„Czyliż nie po wojnie francuzkiej przyszły na nas ciosy i gromy, skierowane przeciwko naszej narodowości polskiej i wierze katolickiej?

„Wobec tego my Polacy razem z Niemcami nie możemy się cieszyć i radować nad zwycięztwami Niemiec. Nie możemy też brać udziału w uroczystościach i pochodach, urządzanych przez Towarzystwa niemieckie. Nie możemy iść tam, gdzie naszego języka polskiego nie uwzględniają. Na zaproszenia Towarzystw niemieckich niech Towarzystwa polskie odpowiedzą spokojnie, ale stanowczo odmownie.“

—

„Nowiny Raciborskie“ donoszą:

„Z pod Rybnika. Do komitetu wyborczego na powiat pszczyńsko-rybnicki zwracamy się z uwagą, że z postawionych kandydatów nie jesteśmy zadowoleni. Jakkolwiek mają ci panowie być dobrymi ludźmi, ale jeden jest Niemcem, a drugi nie wiadomo czem, obydwaj nieznani ludowi polskiemu. Potrzeb tego ludu także nie znają, co przeciwnie o ks. proboszczu Wolczyku z Pszowa sumiennie zapewnić można. Lud polski komitet wybrał na to, żeby radził o potrzebach i czynił wolę ludu. Więc prosimy też, żeby się zastósował do tego i innych posłów do wyboru zalecił, aby nie nastąpiło rozdwojenie. Lud polski żąda rodzonych Polaków, którzy doskonale znają potrzeby ludu, jasno je będą przedstawiali i śmiało za nie walczyli. Jeżeli się to nie zmieni, to nam się zdaje, że wybory źle wypadną. Kto zaś temu będzie winien, niech sobie sam odpowie.“ Uwaga Redakcyi: Gdy nie jesteście kontenci z kandydatów, to trzeba zwołać wiec wyborczy i naradzić się, co robić i jakich kandydatów postawić. Pana Strzodę z Wierzchu trzeba zapytać, czyby mandat przyjął. Jeśli nie, to trzeba innych kandydatów, choćby chłopów postawić. Więc trzeba zwołać na jedną z najbliższych niedziel i ogłosić w polskich gazetach. Innej rady nie ma!

—

O wycieczce górnoszląskiej do Poznania „Katolik“ bytomski tak pisze:

„Pod przewodnictwem redaktora „Gazety Opol.“, p. Koraszewskiego, przybyło w sobotę do Poznania około 90 osób, ażeby obejrzeć wystawę i miasto, oraz aby się zapoznać z Polakami w Poznańskiem. Były to takie odwiedziny, jakiemi bywają odwiedziny braci serdecnych: szczere i rzewne. Nie mogło być inaczej, bo Polacy na G. Szląsku a Polacy w Poznańskiem z jednej i tej samej krwi i kości pochodzą, więc goście górnoszląscy i Poznaniacy przypadli sobie bardzo do serca. Na dworcu czekały setki ludzi i witały okrzykami przybywających. Potem udali się wszyscy do kościoła św. Marcina na krótką modlitwę; następnie zaś na salę p. Adamskiego, gdzie spożyto obiad. Tu się wzajemnie zapoznawano, wygłaszano mowy i wznoszono toasty. Nazajutrz w niedzielę zwiedzano rano osobliwości miasta, potem udano się na nabożeństwo do wspaniałej fary poznańskiej. Po południu goście zwiedzili wystawę. Pod wieczór zasiedli do uczty wraz z licznymi Poznaniakami Tu znów były liczne przemowy; z gości przemawiali pp. Koraszewski, Kirszner, Baron, poseł Strzoda. P. Strzoda powiedział pięknie, że lud górnoszląski zawsze będzie bronił skarbów odziedziczonych po ojcach i nie zginie. Przyjęciem Górnoszlązaków zajmował się Komitet z p. Dobrowolskim, redaktorem „Dziennika“, na czele. W uczcie wzięli udział panowie szlachta, mieszczanie, włościanie, rzemieślnicy i robotnicy. Braciom Polakom z Poznańskiego należy się szczere podziękowanie za tak miłe przyjęcie. Bóg im zapłać!“

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Swoboda“ pisze:

„Rządowy organ „Mir“ zachowuje się od pewnego czasu tak, jakby już był organem rosyjskiej ajencyi. W wielu wypadkach tłomaczy dosłownie rosyjskie pisma, dokumentując jedność zapatrywań.

„Rozpoczął on obecnie walkę z całą Europą, i ze wszystkiemi państwami, oraz dziennikami, rozpisującemi się o obecnej sytuacyi w Bułgaryi. Chwali tylko Francyą i Rosyą, sądząc, że tym sposobem tę ostatnią zjedna.

„Beznadziejny stan, w jakim się Bułgarya znajduje zmusza rząd do szukania pomocy w Rosyi i schlebiania jej. W ucywilizowanej Europie, gdzie u ludzi coś znaczy honor i charakter nie mogą pojąć, jak można bronić morderstwa popełnionego na Stambułowie. Natomiast w oczach Rosyi wypadek taki to nic dziwnego. Przed nią to korzy się rząd bułgarski i błaga, aby wzięła Bułgaryą w swoją opiekę!

„Co ta opieka znaczy?

„Wiadoma, czego się możemy od Rosyi spodziewać; nie uzna ona rychlej praw naszych, dopóki książę Ferdynand znajduje się na tronie.

„Rosyjskie pisma mówią o ugodzie, ale wykluczają z niej ks. Ferdynanda. Przyznaje to deputacya, która jeździła do Petersburga. Sam Naczewicz skarżył się przed znajomą nam osobą, że deputacya niczego nie osiągnęła, oraz że Rosya domagała się wiele, bardzo wiele. To wiele odnosi się do ustąpienia księcia i powrotu rosyjskich oficerów. Oficerowie rosyjscy mają być rękojmią, iż w Bułgaryi dziać się będzie po woli Rosyi.

„Gdy to wiadome, dziwić się trzeba, czemu rząd dotąd stopy Rosyi liże? Czy tem upodleniem zjednamy sobie sympatye Europy?

„Faktu nie można objaśnić innym sposobem, jak tem, że rząd nosi się ze zamiarem uczynić woli Rosyi zadość. W takim razie Stoiłow i Naczewicz pewnego pięknego poranku zrobią to samo z księciem Ferdynandem, co zrobiono z jego poprzednikiem. Tendencyą dzisiejszego rządu jest rzucanie Bułgaryi na pastwę Rosyi. Dziś używa się wszystkich sposobów, aby naród bułgarski przekonać, iż bez Rosyi istnieć nie możemy. Położenie Bułgaryi jest istotnie rozpaczliwem...“

* * *

Chorwacki „Narodni List“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, organ stronnictwa prawa, pisze o obecnem położeniu tamże:

„Ogół naszego społeczeństwa znajduje się dotychczas pod wpływem stronnictwa, któremu brak zrozumienia istotnych potrzeb narodu. Dziś nam potrzeba w duchu postępowym rozwoju wszelkich instytucyi narodowych. Trzeba nam zatem ludzi rzutkich, gotowych do wszelkich ofiarności, którzy potrzeby nasze rozumieją i chcą szczerze sprawie służyć. Potrzebujemy ludzi, którzy nie spuszczają z oka wyższych celów narodowych i potrafią użyć przysługujących nam praw autonomii dla dobra powszechnego.

„Reprezentanci poszczególnych krajów chorwackich mogą zdziałać wiele, czy atoli z obecnej reprezentacyi jest ogół nasz zadowolony, na to nie inaczej jak przecząco można odpowiedzieć.

„Widzimy, że przedstawiciele gmin dalmacyńskich zostali z urzędów swoich złożeni, że większość ma komisarzy rządowych na czele, sprawujących ten urząd prowizorycznie już od roku lub czasu dłuższego. Nie chcemy wyro-

---

KAZIMIERZ (*gorąco*).

Nigdy! Tryl dodany przemnie na koncercie wydaje jej się obelgą!

LEON.

Lecz dla czego nie pozwala ci tworzyć?...

KAZIMIERZ (*cicho*).

Ja teraz jakoś nie mogę... Zanadto ją kocham...

LEON.

Ha! ha! nie chcesz tworzyć, by jej nie zaćmić.

KAZIMIERZ.

Nie, tylko ona zabiła we mnie talent.

LEON.

Jak? Miłością?...

KAZIMIERZ (*gorzko*).

Ha, ha! Czy mnie ona kocha? Od pół roku pocałować się nawet dać nie chce; kradnę pieszczoty! (*cicho*) Ona ma więcej zdolności odemnie.

LEON.

Ośle zakochany! Ona ma pewność siebie i wygrywa! A ty sobie nie wierzysz i marniejesz. Odarła cię z twych pomysłów, a ty klękasz przed jej kradzionym geniuszem! Wyzyskuje cię, a ty prosisz, by zechciała cię dalej wyzyskiwać! Czy słyszał kto kiedy o kompozytorce tej miary? Ona jest tylko nominalną zręczną autorką twych dzieł! Zrozumiej to i pracuj, bo inaczej gardzić tobą będzie!

KAZIMIERZ.

A może ty masz słuszność?.,. Talent jej rozwinął się dopiero, gdy mnie poznała.

LEON (*wstaje*).

Pracuj, a teraz bywaj zdrów (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*uchyla drzwi*).

Wandziu... Leon wyszedł... Wandziu!

WANDA (*wchodzi*).

Czego?

KAZIMIERZ (*nieśmiało*).

Wandziu... czy byś mnie kochała, gdybym stworzył rzecz wielką?

WANDA (*wyciąga ku niemu rękę*).

Tak, kochałabym cię, gdybyś chciał żyć i pracować szerzej!

KAZIMIERZ (*cicho*).

Więc będę pracował...

WANDA (*uradowana*).

A życie nasze będzie równoległym rozwojem dwu samoistnych organizacyi.

KAZIMIERZ (*cicho*).

A czy zechcesz być moją... kochanką?

WANDA (*wstrząsa się*).

Może później... teraz nie! nie! (*serdecznie*) Idź teraz, Kaziu (*oczy gorączkowo jej błyszczą*) Wyjdź! chcę grać! tworzyć!

KAZIMIERZ (*smutno*).

A potem?... pozwolisz mi przyjść?

WANDA (*zbywa go*).

Dobrze! Dobrze! potem! (*popycha go zlekka, zamyka drzwi*).

WANDA (*wznosi ręce w górę*).

Muzyka! Życie! (*siada przy fortepianie, gra — dziesięć minut upływa*).

KAZIMIERZ (*za drzwiami*).

Można?

WANDA (*chwyta się za głowę*).

Znowu! Znowu! Myśl mi ginie... rozprasza się... a! gdyby on wiedział, zabija mnie.

KAZIMIERZ (*j. w.*)

Można?

WANDA (*głosem drżącym rozdrażnieniem*).

Czego chcesz?

KAZIMIERZ (*wchodzi*).

Wandziu! Skończ! Chodź, chciałem pracować... nie mogę...

WANDA (*błędnym wzrokiem*) Nie przeszkadzaj!

KAZIMIERZ (*śmieje się*).

Natchnienie?... Rzuć te gryzmoły, potem dokończysz.

WANDA (*gwałtownie, z pospiechem, z trwogą wymykającej się myśli*).

Nie mogę... nie mogę... Na Boga! nie przerywaj! Tyle tonów... Taki chaos mam w głowie... odejdź, bo przepadnę!.,.. Odejdź!

KAZIMIERZ.

Tak długo jestem sam... tęsknię za tobą... bożyszcze moje!

WANDA (*gwałtownie, z rozpaczą rzuca ołówek*).

Dopiął swego! Wszystko uciekło! Wszystko urwane! Już minęło! Nie wróci! (*z gniewem*) precz ztąd!

kować o powodach rozpuszczenia reprezentacyi gminnych, wszakże warto przypomnieć, że nie wolno ani jednej rady gminnej rozwiązać bez zezwolenia sejmu. Jaką to rolę grają ludzie, którym naród powierzył tak ważne urzędy!

„Czas więc najwyższy, abyśmy do sejmu wybrali innych ludzi, którym zależeć będzie na rozwoju moralnym i materyalnym społeczeństwa.“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zagrzebiu, pisze w korespondencyi z Dubrownika:

„Nie wiemy odkąd się wzięli Chorwaci w Dubrowniku, bo Dubrownik jest prastarem miastem serbskiem, a nasi bracia katolicy, nazywają się Serbami-katolikami i w tymże duchu serbskim redagowany jest katolicki tygodnik serbski „Dubrownik“. Chorwatami są Serbowie, którym od pewnego czasu spodobało się narodowość zmienić w tym celu, aby jako Chorwaci lepiej mogli być zapisani u rządu, który Serbów posądza o idee wielkoserbskie. Mamy tu rodziny emigrantów z Czarnogóry. Zbroiwszy coś w Czarnogórze schronili się na terytoryum austryackie i uchodzą za Chorwatów, rzucając wielkie kalumnie na Czarnogórę, na którą z dumą każdy Serb spogląda.

„Mówimy wszyscy jednym językiem, jedne chrzestne nosimy imiona i równe mamy obyczaje, a więc jesteśmy jednym narodem. Różnica wiary nie była zdolna nas rozdzielić. Katolicy i prawosławni wiedzą, że są Serbami i tego się nie wstydzą. Zkąd więc się to naraz wzięły te przemądre głowy, które wywodzą, iż kraj nasz chorwacki? Co to panowie potrafili nas rozdwoić i utworzyć dwa obozy, które się wzajemnie ku obopólnej szkodzie zwalczają.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

NEOROMANTYZM.

Kierunki w Królestwie mają swoją żywotność, niezależną od postronnych wpływów, jeżeli tylko są wyrazem uczuć i potrzeb nie ulegających przedawnieniu.

Dowód takiej żywotności mamy na romantyzmie. Zdawało się przed ćwierć wiekiem, że upadł on na zawsze pod potężnemi ciosami realizmu, który miał takich mistrzów jak Goncourt'owie i Flaubert, że ostatecznie przygnębiony został „Maczugą“ Zoli. Szyderstwami obrzucali go nawet właśni wyznawcy. Dowcipny Heine, opisując romantycznego bohatera, dawał mu odwagę dziesięciu lwów a rozum osła. Potępiano romantyzm w imię prawdy, zdrowego rozsądku, moralności. Śpiewano mu *de profundis* na wszystkie tony, a pomimo to, po kilku dziesiątkach lat, odzywa się on z nową siłą. Przez czas nawet wyłącznego panowania realizmu nietrudno było odnaleść jego ślady w autorach, obdarzonych dość silną indywidualnością, by iść za popędem własnych natchnień, nie pytając o literackie mody.

Romantyzm ma strony różnolite, a pomiędzy niemi jedną z głównych jest bunt przeciwko uświęconym zwyczajom mieszczańskiego porządku w życiu zarówno jak w literaturze. Wydaje on wojnę tak zwanemu filisterstwu, które samą siłą rzeczy rozpierać się musi zwycięzko pod panowaniem realizmu, z którym jest ściśle złączone swym poziomem i dążnościami.

Mówiąc o realizmie, mam na myśli znamienne utwory tej szkoły, wykluczając wszelkie ideały, nie zaś wpatrywanie się w naturę, bez której sztuka istnieć nie może, mam na myśli nie metodę, ale kierunek.

Realizm stawia naprzeciw rzutkim, bujnym, łamiącym wszystkie konwencyonalne węzły bohaterom, mieszczuchów rozważnych, spokojnych, dobrze odżywianych, umiejących robić interesa, rzuca kamieniem na wykolejonych. będących zawadą społeczną, niepowodzenie kładzie na karb nieudolności i tym sposobem odmawia im nawet współczucia.

Wogóle realizm, którego korzeni szukać trzeba w filozofii pozytywnej, nie jest dla nieszczęśliwych łaskawym. Nieszczęśliwi musieli na swój los zasłużyć, stosuje on do nich z doktrynerską bezwzględnością deteministyczną zasadę przyczyn i skutków, zapominając, że postronne wpływy krzyżują i plączą nieraz wypadki w ten sposób, że przyczyny i skutki występują wzajem do siebie w stosunku nieproporcyonalnym, jak n. p. grudka piasku do lawiny przez nią spowodowanej. Uznając spełnione fakta jako konieczne, sprzyja wszelkiego rodzaju zwycięzcom, sankcyonuje brutalne *vae victis* i przyznaje mu nawet racyę bytu w dziedzinie moralnej. Pochlebia sytym, spanoszonym, tryumfującym, daje im przekonanie, że siła wytwarza prawo, że sama przez się jest prawem, a tem samem niweczy abstrakcyjne pojęcie sprawiedliwości, które nad faktami panować powinno i być sumieniem świata.

Idee mają także swój realizm, wcielają się w swych wyznawców i zą ich pomocą przeważają nieraz na szali wypadków. Krzewiciele doktryn szlachetnych są także, i więcej może, dobroczyńcami ludzkości, niż owi wynalazcy, którym, według Buchle'a, należy się dane jedynie uznanie. Oni to, jak słusznie dowodzi Guyan, wytwarzają środowiska wedle swych pojęć, środowiska, mające nieobliczoną doniosłość.

Na początku tego wieku widzieliśmy, jak takie szlachetne pojęcia przeciwdziałały brutalnym instynktom, modyfikowały je niekiedy, przynajmniej ocalały ideały, a jeśli te nie miały faktycznego istnienia, zapowiadały ich tryumf chociażby w dalekiej przyszłości.

Dziś nieszczęśliwym odjęto nawet nadzieję. Uznano ich za bezsilnych, a tem samem nie mających prawa bytu. Nietylko muszą, ale powinni ustąpić przed prawem pięści. Nie ma co litować się nad losem skazanych, choćby w nich były wcielone najpiękniejsze wytwory myśli i uczuć. Ginąć muszą, skoro nie umieli się bronić.

Podobne hasła, bez względu na ich pozorny racyonalizm, musiały wywołać protesty, tem bardziej, że fatalistyczny determinizm wyrobił teoryę, iż człowiek z siłą i samowiedzą ma prawo do tego wszystkiego, co pożąda, że może i powinien, uczyniwszy sobie podwalisko ze współbliźnich, deptać ich w imię swej mniemanej wyższości. *Nadczłowiek* Nitsche'go jest usankcyonowaniem wszelkiego bezprawia, stanowi potworny pomnik samolubnej pychy.

Na chwałę ludzkości przyznać trzeba, iż znajdują się zawsze obrońcy sprawiedliwości, którzy choćby nawet w danej chwili nie znaleźli uznania, choćby byli pomijani i wyszydzani, ocalają jednak idee, przechowują je niby żar pod popiołem do przyjaźniejszej chwili, kiedy znów będą mogły zajaśnieć całym blaskiem.

W społeczeństwach, nawet najlepiej urządzonych pod względem materyalnym, tam, gdzie każde chętne ręce znajdą pracę, a każda inteligencya swe zużytkowanie, odzywały się zawsze głosy na korzyść biedaków, którzy się w kluby i poprzęgi machiny społecznej ująć nie dali, dla których poprzęgi okazały się zbyt ciasne, którzy stanowili rodźwięk wśród sharmonizowanych stosunków, a odrzuceni i pogardzeni przez współbliźnich, byli nieraz w gruncie więcej od nich warci.

Dickens był mistrzem w malowaniu podobnych postaci. Maluczcy, ciszy, senzytywni, uciskani przez twarde warunki bytu, byli

---

KAZIMIERZ (*biorąc ją w objęcia*).

Wandziu, nie gniewaj się. Ja cię tak kocham!

WANDA (*w szale wyrywa mu się*). Tak — miłość! W imię jej przychodzisz burzyć to, czego jeszcze nie ma i co musi! Pod grozą obłędu musi powstać! O ty umiesz kochać? (*gwałtownie*) Zostaw mnie samą! Czy nie widzisz, w jakim jestem stanie?

KAZIMIERZ (*serdecznie*).

Chcę cię uspokoić!

WANDA (*gwałtownie*).

Ależ ty mnie drażnisz! drażnisz! Błagam! zostaw mnie samą.

KAZIMIERZ.

To samotność cię roztraja: a ja...

WANDA (*z szyderstwem*).

Wrócę ci równowagę gruchaniem miłosnem! Wiedz, że nie ty mi jesteś potrzebny, ale samotność! Samotność jest mi prawem! koniecznością! Zginę, jeżeli gwałcić będziesz moją naturę! A robisz ciągle! Ach, ty! Gdybyś mnie chciał nienawidzieć, uczyniłbyś mi łaskę! Być kochanym, to zbyt często stać się niewolnikiem tych, którzy nas kochają! Dosyć tej katuszy! Precz z miłością ludzi! Jeżeli kochasz, czyń mi dobrze!

KAZIMIERZ.

Ja tak pragnę być ciągle z tobą! Zawsze! Bądź dobrą dla mnie Wandziu!

WANDA (*gorzko*).

Bądź dobrą! Naturalnie! co to za egoizm i okrucieństwo płacić złem za dobre! A dobrem jest miłość ludzi, bez wyboru! Tak zwykliście mówić! Że ta miłość jest aż nadto często wstrętną i zabójczą, że nas krępuje na każdym kroku, że nas wyzuwa z możności swobodnej pracy i ruchów swobodnych, że nas dręczy, to egoizm! Rzecz niesłychana! A jabym chciała, byście wszyscy dla mnie byli obojętni! Obojętność ludzi, to warunek wolności moralnej i życiowej!

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Więc ty mnie nie kochasz?

WANDA (*t. s*).

Znienawidzę cię za twą miłość stonogą, czepiającą się mnie, lepką, liżącą, despotyczną!

KAZIMIERZ.

Despotyczną! — Kto kim rządzi? — Jesteś jedyną moją myślą, osią życia, bóstwem, panią wszechwładną, patrzę ci w oczy, by zgadnąć twe myśli; czas po za tobą zapełniam myślą o tobie! poświęciłem się dla twego talentu, oddałem mu swój! A ty mi tyranią wyrzucasz!

WANDA (*gwałtownie*).

Uwolń mnie raz od twych poświęceń! I od tego rozkochania także, i pieczołowitości, i ciągłego odnoszenia się do mnie! Nie znoszę tego ustawicznego zastawiania na mnie sideł troskliwości, okręcających mi stopy, krępujących ruch każden. Ależ to męczarnie, nie módz się obrócić bez spotkania się z tym samym roztkliwionym wzrokiem, nie módz wstać bez wywołania pytania, gdzie idę? Zostawże mnie samą! Nawet, myśl twoja o mnie zaczyna mnie drażnić! W samotności nie jestem sama, ciągle mnie prześladuje wstrętna wiadomość, że ci mózg zaprzątam, lub że przychodzisz przerwać mi ciszę, lub że lada chwila przyjdziesz! Gdy gram drżę, byś mi nie przerwał tworzenia, nie urwał prądu dźwięków, który mnie porywa! Odwracam się niekiedy z dreszczem, bo mi się zdaje, że stoisz za mną i schylasz się, by mi kark obdarzyć pocałunkiem! Nie męcz mnie, nie zabijaj, nie krępuj swą czułością i nieznośną opieką!

KAZIMIERZ (*rażony, zły, zmięszany*).

Czego ty chcesz odemnie?

WANDA.

Czego? byś nie wyjaławiał siebie tym czczym, bałwochwalczym, bezmyślnym erotyzmem, byś był duszą samodzielną i nie gubił siebie zatapianiem się w manią, a mnie, krępowaniem mej swobody! Chcesz być wszystkiem dla mnie! Jakże czemkolwiek może być człowiek, zajęty myślą pieszczot jedynie! Machina miłosna! Ależ ten twój fetyszyzm jest dziki i poniża ciebie, a mnie upokarza i drażni. To nawet nie egzaltowana postać uznania i zrozumienia; bo ty mnie ani znasz, ani odczuwasz. To tylko ciągle czujna żądza zmysłowa! Ten

zawsze przez niego kochani. Stawiał ich w położeniach odpowiednich, ażeby mogli wykazać swoje przymioty. Ratowali oni zwykle w potrzebie ludzi, będących w zgodzie ze swem społeczeństwem, ludzi, co stanowili jego filary, a jednak pomimo swej życiowej mądrości, w danej chwili stawali się ofiarami jego niemiłosiernych urządzeń.

Dickens zdaje się twierdzić: Niech sobie urządzenia społeczne będą nieubłagane, ludzie powinni je łagodzić w przystosowaniu. Zdarzają się zaś takie wypadki, w których sędzia, jeśli jest człowiekiem, musi wybierać pomiędzy słusznością a prawem, między własnem sumieniem a kodeksowym artykułem. Biada tym, co tego nie pojmują, a stokroć większa biada tym, co są od nich zależni i mają do czynienia z istotami, działającemi na wzór i podobieństwo kół w mechanizmie społecznym".

Taką postacią jest w Dawidzie Copperfieldzie pan Madstone, ojczym bohatera. Wiadomo, iż w tytułowej postaci autor przedstawił samego siebie, odmalował wszystkie cierpienia, jakie przeszedł wraz z matką pod władzą tego nieubłaganego człowieka. Nie był on jednak złym wcale, przeciwnie, miał przekonanie, że święcie spełnia swoje obowiązki, gdy zmuszał żonę, ażeby ona także twardą była dla dziecka, wbrew własnej i jego naturze. Stosował on tylko zasady, w które wierzył, niczem ich nie łagodząc.

Matka Dawida umarła zmiażdżona despotyzmem drugiego męża, a dziecię przez całe życie zachowało w charakterze ślady jego wpływu. Dickens lata dziecinstwa wspominał zawsze z dreszczem wstrętu.

Zapewne więc własne doświadczenie uczyniło go tak tkliwym na cierpienia istot, pokrewnych sobie uczuciem i usposobieniem, które umieszczał w każdej niemal ze swych powieści. W „Ciężkich czasach" Cecylia, córka cyrkowego skoczka, przygarnięta przez człowieka podobnego do Mardstone'a, staje się aniołem opiekuńczym całej jego rodziny, kierującej się najgorzej dzięki wychowaniu, w którem pominięto z umysłu serce, wyobraźnię i wszystko to, co wpływa na uszlachetnienie człowieka.

Cecylia nigdy się do zimnych przepisów tego wychowania zastosować nie mogła. Całe życie tęskniła za cyrkiem, gdzie pieścili ją wszyscy, a choć nieraz cierpiała niedostatek, miała zawsze w koło siebie bijące serca. W domu, do którego weszła, uważano ją za upośledzoną, bo zachowała uczuciowość niezmrożoną otaczającym chłodem, zamknęła ją więc w głębi duszy i właśnie dzięki jej odwdzięczyła się dobroczyńcom.

Dickens idzie za nauką św. Pawła, u niego wszystko jest niczem wobec uczucia. Kto go nie posiada, nigdy prawdziwie życzliwym nie będzie, braknie mu zawsze tej ożywczej siły, która porusza serca i zdobywa przekonania.

Myśl tę wypowiedział on wyraźnie w fantastycznej noweli „Nawiedzony". Fantastyczność u Dickensa była zawsze przezroczystym symbolem, za pomocą którego uwydatniał swoje tendencye. W noweli tej człowiek nieszczęśliwy przez całe życie, nawiedzany jest wiecznie widmem wspomnień. Błaga więc, by mu one odjęte zostały raz na zawsze. „Dobrze, odpowiada mu widmo, które ściga go zawsze we śnie i spoczynku, zapomnisz o tem doznanem i zapomnienia tego udzielisz wszystkim, co się do ciebie zbliżą, ale pamiętaj, ażebyś nie pożałował tego, co utracisz".

Ktożby żałował pamięci minionych bólów? A jednak tak się stało. Wraz z ich pamięcią ulotniło się z duszy nawiedzonego, zrozumienie cudzych cierpień i współczucie dla nich. Wie on, że obowiązkiem jest nieść im osłodę i czyni to, ale tylko jako powinność. Zatracił dar przemawiania do serca nieszczęśliwych. Czyniąc dobrze, sam nie doznaje pociechy, odpycha, zamiast pociągać tych, którym pomoc niesie. Ludzie patrzą na niego, słuchają i nie poznają człowieka, znanego z gorących uczuć.

Niedość na tem, w koło siebie szerzy on nieszczęście. Pod jego zbliżeniem rozluźniają się serdeczne węzły, obojętnieją względem siebie członkowie kochających się rodzin, bo znikł czynnik, który najwięcej jednoczy ludzi, wspólnie zniesione cierpienia. Zniszczymy w społeczeństwie działanie uczucia, chociaż jest ono nieraz źródłem bólu, a zniszczymy to, co jedynie urok życiu nadaje.

Uczucie przeciwstawione rozumowi stanowi jedną z cech romantyzmu, który zresztą zrodzony w Anglii, miał tam zawsze wyznawców. Trzeba też zaznaczyć, że Dickens nigdy nie przekraczał w uczuciowości miary właściwej, nie wpadał w przesadę, jakiej dopuszczała się szkoła niemiecka.

Ulubieni bohaterowie Dickensa ograniczają się na tem, iż stoją w opozycyi z przedstawicielami surowej litery prawa, z wyrachowanemi filistrami, którzy uważają świat za tak wzorowo urządzony, iż stosunkom jego nic zarzucić nie można, dla tego to nie należy mięszać się do nich i podtrzymywać przez źle zrozumianą filantropią żywiołów, skazanych własną nieudolnością na zagładę. Ci, co nie wstrzymają walki życia, powinni w jego areny wstąpić i zostawić miejsce silniejszym.

Z taką doktryną nie zgadzał się tkliwy Dawid Copperfield, ani Cecylia, ani cały szereg istot serdecznych, występujących we wszystkich prawie powieściach Dickens'a. Zalety te jednak nigdy nie stają w kolizyi z moralnością i z kodeksem. Przeciwnie, autor wyposaża je hojnie wszystkiemi przymiotami, ażeby lepiej wykazać, że źródło ich leży w sercu. Bohaterowie Dickens'a są w zgodzie ze społeczeństwem, dokładają wszelkich sił, aby mu nie być ciężarem, cisi, skromni, często wyzyskiwani, nie ocenieni, nie skarżą się nigdy, ustępują z drogi natarczywym, nie wysuwając się na pierwsze miejsce. Za to są oni pierwszemi tam, gdzie jest jaki obowiązek miłosierdzia do spełnienia, niosą pomoc gdzie mogą i czem mogą, nie szczędząc czasu, choćby odkradzionego snowi, jeśli nic innego bliźnim dać nie są w stanie. Autor kreślił ich z miłością, jakby na wzór i unikał wszystkiego, coby mogło jakikolwiek cień na nich rzucić.

Inaczej postępuje nowelista amerykański Brettlarte. Jest on daleko radykalniejszym w swoich zapatrywaniach. Nienawiść do filisterstwa sądów jest u niego daleko silniejszą. Przytem społeczeństwo, do którego przemawia, jest odmienne, bardziej zanikłe w gonitwie za złotem, jest też bez porównania mniej skrupulatne co do środków i nie przestrzega granic zbyt ściśle uczciwości. Pojęcia amerykańskie są pod względem etyki o wiele liczniejsze od angielskich. Brettlarte zaś umiłował szczególniej włóczęgów, szulerów, pijaków, nierządnice, słowem, ludzi uważanych za wyrzutki społeczne i w nich upatruje cnoty, nie znajdujące się według niego w osobnikach reprezentujących porządne warstwy społeczne. Wyrzutki te są jedynie zdolne do miłości, poświęcenia i wzniosłych uczuć, których zwykle nie pojmują nawet filistrzy.

Pijak rozkochany w młodej nauczycielce, stojącej na czele szkoły, w oddalonej kalifornijskiej osadzie, okazuje jej swą miłość w sposób pełen dyskrecyi. Spogląda na nią tylko zdaleka, kwiaty, które ona lubi, podrzuca jej na okno, nie spostrzeżony od nikogo, bo oddaje sobie sam sprawiedliwość i nie chce ukochanej przynosić ujmy swem uczuciem.

Ta miłość nie jest jednak w stanie poprawić nałogowego biedaka, odrodzić, uczynić nowym człowiekiem. A gdyby nawet i tak było? Któżby tej poprawie uwierzył? Nie uwierzyłaby nawet ona, choć w sercu ma dla niego litość, graniczącą niemal z miłością.

Sielanka pomiędzy dwojgiem ludzi, rzuconych na krańce cywilizacyi, którzy spoglądali tylko na siebie ukradkiem, kończy się w sposób idealny. Ona zostaje przeniesiona do innej

---

ustawiczny żar miłosny, bijący od ciebie, napełnia mnie odrazą! Nie jestem kokietką, której próżności byś schlebiał! Nie jestem kobietą zmysłową, którą byś elektryzował. Nie jestem wyłącznie kobietą, której życie by zapełniał mężczyzna! Mnie potrzeba szerokiego życia myśli, uczuć ogólnych, swobodnych twórczości. Do mnie świat cały należy i ja należę do świata, a ty chcesz bym była tylko twoją! I czy ci o duszę moją chodzi? Mniejsza o nią, byle mieć ciało! I ty myślisz, że zniosę życie, którego treścią twe płaskie zachwyty?... że mi duszę zapełni twe dzikie i tępe bałwochwalstwo?... że zgodzę się na to, by być czarą, z której rozkosz pić będziesz, dogodzeniem twej chorobliwej żądzy, szczęściem twej pospolitości? I nie zrozumieszże, że istota moja buntuje się przeciw tobie, ślepej sile namiętności, która mojej wyższej zagraża, i że moje ja protestuje przeciw tej pokornej postaci, instynkta władzy mężkiej? Ależ ja zaczynam wstręt mieć do ciebie, nie miłość!

KAZIMIERZ.

Depcz! Jesteś o tyle silniejszą, że nie kochasz! O, wy umiecie być bezlitosne, gdy się jest tak głupim, że się dla was szaleje!

WANDA.

To, co się wydaje okrucieństwem, jest tylko brutalną, lecz przypierającą do muru konieczności. Jeżeli ty kochasz, tobie twa miłość wystarczać może. Lecz jakże chcesz, by twa dusza w której jest tylko żądza mnie, mnie wystarczała! Wszak to być nie może! Zając może organizacya samoistna, żywa sama w sobie, żyjąca podobną naszej, wszechstronnością i siłą. Lecz jakże ma być dla nas wszystkiem odbicie nas samych w innej duszy, bierna rolą kochanej!

KAZIMIERZ (*cierpko*).

Skończ z analizą, albo szukaj za jej pomocą przyczyn rzeczywistych twego wstrętu do mnie. Z innymi rozmawiasz godzinami, a w towarzystwie Karola masz ożywioną twarz, swobodny uśmiech, serdeczne słowo. Tylko dla mnie jesteś rozstrojoną i gorzką.

WANDA.

Tak! bo oni są żyjącymi ludźmi, bo należą do tego samego, co ja, umysłowego świata; bo nas łączy wspólność myśli, a mózgi nasze oddziaływają na siebie rozbudzająco i ożywczo.

KAZIMIERZ.

Ha, ha! pięknie umiesz mówić! O jesteś tylko kokietką, której się sprzykrzył mąż, i która szuka kochanka. To klucz zagadki!

WANDA (*błędnym z oburzenia wzrokiem patrzy na niego, hamuje się, przez zęby z pogardą*).

Gadzie! pospolitości błotna i marna! (*z rozpaczą*) Ja oszaleję wśród tych ludzi!

KAZIMIERZ (*chwyta ją w objęcia, z żalem*).

Wando, jam podły, przebacz!

WANDA (*odpycha go z pogardą*).

Przepraszaj, bo przy tem całować możesz! Obrzucaj mnie całem błotem twojej i twych braci, pełzającej po gnojowiskach życia, myśli! Zatruwajcie mnie robaki wylęgłe w bagnie! Spychajcie mnie w wasz dół cuchnący, bo sami w nim żyjecie! Zarażajcie mnie dżumą moralną waszych brudów! (*odpycha go, przysuwającego się znowu*) Precz! Nie tykaj mnie twymi lubieżnymi ustami! Precz, słyszysz?

KAZIMIERZ (*zjadliwie*).

Czy się w ten sposób bronisz od pocałunków Karola?... Ha, ha! wierzę ja waszej przyjaźni.

WANDA (*gwałtownie uderza go w policzek*).

Więc wierz mej pogardzie!

KAZIMIERZ (*osłupiony*).

WANDA (*chwyta się za głowę*).

A nie. Dłużej nie zostanę z wami... Oni zwierzę ze mnie zrobią... (*Wybiega, wraca do fortepianu, chce zabrać papiery.*)

KAZIMIERZ (*chwyta je*).

Tego nie dostaniesz! (*dziko*) Ha! ty mną poniewierać będziesz?... Zemszczę się... zemszczę! Masz! niech ginie twoje dzieło! (*drze gwałtownie papiery*).

WANDA (*nieruchoma, blada, hamuje się, odchodzi*).

KAZIMIERZ (*rzuca się do niej*).

Zostaniesz! (*chwyta ją*).

WANDA (*z głuchą wściekłością*).

Precz, nie tykaj mnie!

miejscowości, a on powierza jej swe dziecię. wychowa je z pewnością lepiej od niego. Rozchodzą się, nie wypowiedziawszy nigdy tego co czuli, złączeni jednak na zawsze dziecięciem, nad którem ona czuwać obiecała.

Walerya Marrené Morżkowska.

(Dokończenie nastąpi.)

O „Rodzinie Połanieckich“.

Od kilkudziesięciu lat prowadzi się nieustanną podjazdową walkę przeciw rozwielmożnieniu się powieści. Pomijając już moralistów, oskarżających ją (często i słusznie) o wszelkie zbrodnie i występki, nie było chyba krytyka literackiego, któryby na karb jej rozpowszechnienia się, nie kładł objawiającego się coraz bardziej wstrętu do czytania rzeczy poważnych. Wszystkie jednak ekskomuniki, rzucane na powieść, wszystkie przeciw niej tyrady i wywody, nie osiągnęły celu: kroczy ona naprzód w tryumfalnym pochodzie, a rzesze spragnione rozrywki umysłowej wyciągają do niej ręce, nie zwracając nawet uwagi na piorunujące kazania jej przeciwników.

Ze zwycięztwem powieści, jako formy literackiej, liczyć się należy, trzeba je przyjąć jako fakt spełniony. Wszelkie protesty na nic się tu nie zdadzą, bo wyrok zapadł w najwyższej instancyi: u czytającej publiczności, Jest to objaw zresztą naturalny. W naturze ludzkiej leży większy pociąg ku temu, co bawi. niż ku temu, co uczy, lub każe myśleć, zastanawiać się. Popyt zaś na powieść zwiększa jej podaż, ztąd z małym wyjątkiem każdy prawie pracownik na niwie literackiej usiłuje się dostać na rydwan tryumfatorski i zagarnąć dla siebie część jej laurów.

Im więcej jednak dominującem jest stanowisko powieści, tem baczniejszą uwagę powinna zwracać na nią krytyka i publicystyka. Ślepym bowiem byłby ten, co zaprzeczałby jej potężnego wpływu. Nie idzie tu o umysły inteligentne. co mając wyrobione zasady i poglądy, traktują powieść jako przyjemną zabawę dla wyobraźni, szukają w niej tylko wrażeń artystycznych, ale o te najszersze koła, dla których jest ona często jedynym pokarmem duchowym, zastępującym ambonę, kierownika i nauczyciela. Te szerokie koła, składające się przeważnie z kobiet i młodzieży, ulegają wpływowi powieści, jako umysły po największej części słabe i niewyrobione. Wierzą w apostolstwo autora, przejmują się jego tendencyami i zapatrywaniami, przez jego okulary patrzą na świat i społeczeństwo, wyrabiają sobie poglądy złe lub dobre, tworzą dla siebie kodeksa moralne i społeczne. I w tem leży wielka częstokroć zasługa powieści, w tem też leży i jej szkodliwość. Ztąd i zadanie krytyki jest podwójne — obowiązkiem jej oceniać nietylko artystyczną, ale i etyczną wartość powieści.

Świetnym, mistrzowskim wzorem takiej krytyki są „Listy o Zoli“ Sienkiewicza. „Każda książka to czyn — pisze znakomity powieściopisarz — cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to zadanie życia spełnione, to uroczystość dożynek, podczas której przodownikowi służy prawo do wieńca i do pieśni: Plon niesiem, plon! Ale oczywiście zasługa zależy od plonu“... I dla tego znakomity powieściopisarz ostro występuje przeciwko Zoli i jego towarzyszom za sporządzanie „nadmiaru trucizn“, za przytępianie zmysłu moralnego. Po znakomitej analizie „doktora Pascala“ Zoli, woła Sienkiewicz z całą potęgą przekonania: „dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochę spokoju... Powieść powinna krzepić życie, nie zaś podkopywać, uszlachetniać, nie zaś plugawić, nieść dobrą nowinę, nie zaś złą.

Święte słowa, a zwłaszcza w naszem położeniu. Jeżeli komu to nam trzeba „świeżego powietrza“, bo od stu lat przeszło przebywamy ciężką chorobę, jeżeli komu, to nam „wątpiącym“ potrzeba „nadziei“, bo wszystko się składa, aby ją nam odebrać. Jeżeli gdzie, to u nas każdy pisarz powinien się czuć nietylko artystą, ale i obywatelem, bo nam nie wolno poprzestawać tylko na rozkoszy artystycznej. A im większy pisarz, im większy jego talent, tem większe mamy prawo wymagać od niego, aby utworami swojemi krzepił życie, uszlachetniał je, niósł dobrą nowinę...

Dla tego też spisując wrażenia, odniesione przezemnie z przeczytania „Rodziny Połanieckich“, pragnąłem nietylko dotknąć wartości artystycznej powieści, ale i jej strony etycznej, obywatelskiej.

* * *

Przypuszczam, że mało znajdzie się kto pomiędzy czytelnikami, któryby już nie znał najnowszego utworu Sienkiewicza, albo o poznanie się jego nie starał, a to mi pozwala na wypowiedzenie od razu moich wrażeń, bez streszczania fabuły.

„Rodzina Połanieckich“ napisana po mistrzowsku, po sienkiewiczowsku, pełna świetnych drugoplanowych figur, dysząca miłością, opromieniona poezyą, tryskająca dowcipem, obejmująca całą skalę twórczości od lirycznej sielanki do ponurego dramatu, niepozbawiona i głębszych refleksyi, oparta na podkładzie psychologicznym, wyposażona w nowe typy i charaktery, imponująca często obserwacyą życiową i doprowadzonym do szczytu kunsztem pisarskim, — nie tworzy jednak dobrze zbudowanej całości, nie wzbudza sympatyi dla głównych bohaterów, z początku zajmujących i dobrze narysowanych, ale zmniejszających się niebawem w parę mdłą, pospolitą, banalną.

Powieść rozpada się na trzy części, a dwie powieści, z których każda stanowi dla siebie całość. W chwili, kiedy eteryczna dziecinna Litka na łożu śmiertelnem łączy Połanieckiego z Marynią, mógłby autor napisać k o n i e c — i powieść byłaby gotowa. Kilka następujących rozdziałów byłoby tylko jej uzupełnieniem. uzupełnieniem nie koniecznem, ale miłem dla czytelników, niechcących się tak prędko rozstać ze sympatycznem kółkiem zacnych ludzi. Z rozdziałami temi znikają postacie, do których przywiązywała się nasza myśl i wyobraźnia. Litka umiera, po niej schodzi do grobu dekadent, a jednak sympatyczny Bukacki, Pławicki, ojciec Maryni, wypełnił całkiem swoją misyę, Bigielów już lepiej nie poznamy, Emilia, matka Litki, usuwa się od świata, dalsze dzieje Maszki mogą nas już wcale nie obchodzić. Na zakończeniu powieści zyskaliby Marynia i Połaniecki, z którymi już w tych dodatkowych rozdziałach nieco zrywamy zadzierżgniętą nić sympatyi. Bez tych rozdziałów rozstalibyśmy się z nimi z zupełnem zadowoleniem, że połączyła się na drogę życia para ludzi młodych, energicznych, dobranych, dających niejaką gwarancyę, że seryo patrzeć będą na świat i obowiązki. Z temi rozdziałami rodzi się w nas podejrzenie, czy energia, dobroć, wyższość umysłu, szlachetne dążenia Połanieckiego i Maryni nie są tylko pozorami, czy wiary w te ich przymioty nie nabyliśmy przez suggestyę autorską, czy zamiast znajdować się w kole dusz wybranych, nie wpadliśmy w świat jeżeli nie blichtru, to zwyczajnego filisterstwa, którego ideałem zaspokojenie codziennych potrzeb, zadowolenie ze zdawkowych przyjemności życia.

Tymczasem powieść toczy się dalej, a figury epizodyczne, drugorzędne, jak Maszko, Osnowscy, zaczynają spychać Połanieckich na plan dalszy. Przyłączają się do nich inne, jak Broniczowa, Kopowski, a zwłaszcza Zawisłowski i Lineta Castelli. Miłosne dzieje tej ostatniej pary składają się na drugą powieść, całkiem odrębną, z odmiennem tłem i z ludźmi innego świata i pokroju. Jeżeli przed chwilą podejrzywaliśmy, czy nie ulegliśmy złudzeniu co do wartości Połanieckiego, to przebywszy podwoje pani Broniczowej, nie mamy już żadnych po-

---

KAZIMIERZ (*szydersko*).

Silniejszy jestem od ciebie, moja pani, uczynię z tobą, co zechcę!

WANDA (*szamocze się*).

Samcze rozbestwiony!

KAZIMIERZ (*szydersko*).

Mów co chcesz! Dotąd cię kochałem, teraz... (*dziki*) nienawidzę ciebie, i twoją siłę, i twoje dzieła! I zniszczę cię... zniszczę doszczętnie! Odpychałaś moją pokorę, będziesz niewolnikiem mych gwałtów. Zniszczę i zgubię ciebie, i moc twoją, i duszę — wszystko! Nie chciałaś być panią, męczenniczką będziesz i sługą!

WANDA (*szarpie się, śmiejąc dziko*).

Zapomniałeś, że umiem się bronić! Precz! puść mnie!

KAZIMIERZ (*szyderczo*).

Tak?... Nikogo w domu nie ma. Jesteś w mej mocy! Twoja „duchowa“ siła niech cię broni przed moją brutalną!

WANDA (*wyrywa się gwałtownie, rozpoczyna się walka, ona z zaciśniętymi wargami, blada, mocuje się z nim, trzymającym ją w pół*).

KAZIMIERZ.

Upokórz się!

WANDA (*ochrypłe*).

Przed kim? Bestyą?

KAZIMIERZ (*rzuca ją na kolana*).

Ha, ha! klęczysz przedemną! W mojej mocy! (*uderza ją pięścią w głowę*) Nie walcz ze mną! Nie walcz z siłą! (*Wanda upada na twarz, omdlała.*) Ha! teraz nic nie mówisz! To za krzywdy! (*pochyla się, chwyta za głowę i ucieka z wyciem*) Umarła!

Akt II.

(Rzecz na wsi, u rodziców Leona, pp Wirskich.) Salon, piją kawę po obiedzie.

WIRSKA (*zwraca się do Wandy*).

A teraz po obiedzie może byś nam co zagrała, Wandziu?...

WANDA (*z ukrytą niechęcią*).

Ciociu, jam tak nieusposobiona.

JOZEF (*lat 30, szatyn*).

Więc pani gra?

WIRSKI (*lat 60, tłusty, opalony szlachcic*).

Mój kochany, wracasz z Warszawy, a nie słyszałeś nic o pani Wandzie, słynnej naszej kompozytorce, polskim Liszcie?

JOZEF.

Ja w Warszawie mam inne zajęcia, niż bywanie na koncertach lub czytanie Kurjera.

WANDA.

Zresztą warszawska reklama!

LEON (*siedzący obok niej, nachyla się szyderczo*).

Poznaję w pani wyższą istotę po jej skromności....

WANDA (*niedbale, z ironią patrzy na niego, odwraca się*).

JOZEF (*namyśla się*).

Zaraz... czyby pani była tą artystką, o której mówiono, że jej mąż...

WANDA.

Przepisywał tytuł własności swych utworów?...

JOZEF.

. . . i której sprawę rozwodową prowadził Leon?

WANDA.

Tak! (*zwraca się ku Leonowi*) Za co mu mam nieskończoną wdzięczność i nieopisane zdumienie...

WIRSKA.

Co cię zadziwia, Wandziu, w czynie Leona?

WANDA.

To, że bronił mojej sprawy, mimo że przedtem był mym nieprzejednanym wrogiem.

LEON (*nachyla się*).

Myślisz pani, że teraz jestem twym przyjacielem?

WANDA (*do niego z uśmiechem*).

Więc szlachetna zemsta?

LEON (*gorzko z myślą podwójną*).

Może osobisty interes, podjąłem się sprawy, w której tylko wygrać mogłem; zresztą może przegrałem, może wygrana nie warta była trudu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dejrzeń i żadnych złudzeń. Tu użycie we wszelkiej formie stanowi treść pragnień i zabiegów. Oprócz Zawisłowskiego i kilku epizodycznych postaci, wszystko tu zieje zgnilizną, wszystko jest fałszywe: zarówno arystokratyczność pochodzenia, jak porywy serca, zarówno wiara małżeńska, jak uznanie dla talentu. Kto wie nawet, czy nie jednym z lepszych w tem towarzystwie jest Kopowski, bo idąc za popędem namiętności nie rozumuje, a że kapitalnie głupi, więc nie można mieć do niego pretensyi, aby zdolnym był zrozumieć potrzebę poważniejszych celów życia. Połanieccy są tu całkiem zbyteczni: nic nie działają, do niczego nie służą, a tylko coraz niżej schodzą z piedestału, na którym ich postawił Sienkiewicz. Swoją drogą ta druga powieść, choć mniej sympatyczna od pierwszej, choć może zupełnie niesympatyczna dla „czułych serc“ i rozidealizowanych umysłów, jest obrazem świetnym, pełnym życia tych sfer, co nie są świetne i nie powinny mieć prawa do życia. Czuć, że w żadnej części, do tego stopnia jak w tej, wyobraźni autora nie pomagała tak znakomicie i na taką skalę rozwinięta obserwacya.

Ale kończy się ta powieść, a raczej Sienkiewicz chciał ją skończyć, urwać niecałkiem rozwikłaną, aby powrócić do Połanieckich. Można nawet przypuszczać, iż w pierwszym planie, w pierwszej koncepcyi powieści, Sienkiewicz nie miał zamiaru wprowadzać do niej pani Broniczowej i całego jej otoczenia, że ta druga część sama nawinęła mu się pod pióro, a obraz, jaki mu się przedstawił, tak go zajął, iż zapomniał o planie pierwotnym. O odstąpieniu od tego pierwotnego planu przekonywa nas i sam tytuł powieści, bo początek „rodziny“ Połanieckich, a raczej wstęp do niej widzimy dopiero przy końcu ostatniego tomu, a jest to początek jeszcze tak niewyraźny, bo kilkomiesięczny, że Bogiem a prawdą powiedziawszy, na „rodzinę“ Połanieckich będzie trzeba jeszcze poczekać. Rodziny nie ma, jest tylko w pierwszej połowie powieści pan Połaniecki, a w drugiej są państwo Połanieccy. Przypomniawszy ich sobie, powrócił Sienkiewicz z bocznej drogi na właściwy gościniec i zaczął pisać część trzecią, najkrótszą, w której znowu Połanieccy odzyskują swe dominujące stanowisko, ale nie odzyskują już tej sympatyi, jaką stracili, zbliżywszy się do salonowego bajoru pani Broniczowej. Patrzymy już obojętnie, jak wypogadza się niebo ich miłości i co najwyżej zdobywamy przekonanie, że po nowym obywatelu, co przybył na świat jako uzupełnienie „rodziny“ Połanieckich przybędą inni i to wkrótce, zwłaszcza, że Marynia sama nie karmi, a czulenia się małżonków dowodzą jasno, że im obcem będzie prawo Malthusa, równie jak niesympatyczne im będą najnowsze poglądy Tołstoja.

Tak wygląda budowa powieści. Jest wadliwą, bo zwyczajem dzisiejszym druk powieści postępował w miarę posuwania się pracy autora, a ten system najczęściej sprowadza uchybienie przeciw konstrukcyi. Jest wadliwą, ale gdyby nią nie była, stracilibyśmy obraz najwięcej drgający życiem, najwięcej posiadający świeżych rysów, najwięcej plastyczny, najwięcej olśniewający jaskrawością barw i najlepiej, najprawdziwiej malujący pewną sferę społeczeństwa, jej zajęcia, wyobrażenia, małostki i liliputcie ideały. Bez bolesnych przejść Zawisłowskiego, bez nieporównanej w swej paplaninie Broniczowej, bez „florencko-rzymskich“ wieczorów pani Anety, bez ciekawej nad wyraz i całkiem nowej Castelli, bez mydłka „Koposia“, bez oślepionego miłością Osnowskiego, bez całej tej farsy życia, kończącej się dramatem, musielibyśmy znów powrócić do łoża umierającej Litki i powiedzieć sobie, że z jej śmiercią skończyła się „Rodzina Połanieckich“.

Przyjrzyjmy się z kolei bohaterom powieści, Połanieckiemu i Maryni. Sienkiewicz chciał z nich wprawdzie zrobić ludzi zwykłych, normalnych, nie wyjątkowych ale w każdym razie z „dogmatem“, z pewną indywidualnością, z poglądami szerszemi. Że chodziło mu o dogmat, to widoczne ze wspomnień o Płoszowskim, którego przeciwstawieniem ma być Połaniecki. Ludzie ci się znali i Połaniecki przyznając przed sobą, że jest typem „mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem wyciosanym z grubszego materyału“ (II 132), przy dalszem porównaniu przyznaje przecież sobie wyższość: „Ostatecznie ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem i dobrze umiem farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece... Ten człowiek przeanalizował swoje życie“ (tamże).

W Połanieckim ma się odbywać walka dobrego ze złem, walka, której podlegają wszystkie umysły więcej ruchliwe, żądne czynu, nie pozbawione własnej woli i energii, nie zrodzone „do gotowego“, ale stwarzające sobie same warunki życia. Z tej walki ma Połaniecki wyjść zwycięzko, ma tryumfować, dojść do równowagi serca i umysłu, ma do wyrozumowanych i uznanych przez siebie za dobre teoryi etycznych i społecznych, zastosować swą działalność, poddać pod ich władzę i kontrolę swe pragnienia, namiętności, być w zgodzie ze samym sobą, ze swojemi poglądami na świat, ludzi, rodzinę. Do tej zgody nie doszedł Płoszowski, ale bo też to była natura wyjątkowa, twór przerafinowanej cywilizacyi, roślina wyhodowana w cieplarni, sztucznie rozwijająca się, człowiek niezdolny do czynu, wypełniający życie przyjemnościami, jakich mu dostarczało bogactwo, chroniący się od nudów i przesytu kontemplacyą i drażnieniem nerwów. Połaniecki wyrósł w innej atmosferze. Choć równie jak Płoszowski, potomek starej rodziny, nie był jednak już w kolebce oblubieńcem fortuny, ztąd od zarania życia myślał o przyszłości, o zdobyciu sobie niezależnego stanowiska własną pracą i zapobiegliwością. Płoszowski bogaty z urodzenia, Połaniecki zdobywa pieniądze, tamten próżnował, ten oddaje się pracy, tamten z wiary przeszedł do sceptycyzmu, ten ze sceptycyzmu dochodzi do wiary, tamten oddawał się nieprawym miłostkom z rozkoszą i zadowoleniem, sądząc, że odbiera należny sobie trybut życia, ten czuje dla siebie pogardę po uwiedzeniu Maszkowej, tamten człowiek frazesu, ten czynu, tamten uciekał od ukochanej kobiety, ten za nią goni, tamten odebrał sobie życie, ten w nagrodę zdobywa sobie szczęście. I jeżeli Połaniecki jest takim, toć nic dziwnego, że Marynia „ma kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać“ (III 478).

Ale Połaniecki nie jest takim. Mniejsza o to, że nazajutrz po prześlicznej rozmowie z Marynią w Krzemieniu, rzuca jej w twarz obelgę, bo czyni to pod wpływem rozdrażnienia; mniejsza o to, że sprzedaje swą wierzytelność, wiedząc, że tem samem wyrzuci Pławickich z Krzemienia, bo czyni to jeszcze w stanie rozdrażnienia i gniewu, bo jest to wina jego temperamentu, usposobienia, łatwo przerzucającego się w ostateczności. Zresztą żałuje swego uniesienia i to bardzo. Spotkawszy się z Marynią w Warszawie, czyni wszystko, aby zatrzeć niemiłe wrażenie, wyznaje winę, korzy się prawie na klęczkach, tarza się przed obrażoną i do żywego dotkniętą Marynią. Ale czyby to wszystko czynił, gdyby jej nie kochał, gdyby nim nie zawładnęła namiętność? To pytanie — przypuśćmy jednak, że tak samo postąpiłby bez wpływu rosnącej gwałtownie miłości. Mamy bowiem inne dowody jego dobrego serca. Przyjaźń bezinteresowna dla Emilii, przywiązanie do Litki dziwnie piękne, poczciwe, pełne poezyi, stosunek z Bigielami — wszystko to za nim przemawia. Gniewa nas dopiero na prawdę, kiedy zaczyna filozofować, kiedy połączenie się z Marynią zaczyna traktować jako obowiązek, kiedy czuje pewną do niej niechęć, a najwięcej, kiedy dawna czysta miłość przeradza się w pożądanie. Gra ono rolę i to bardzo niesmaczną w scenie oświad-

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Ze nie oszczędziłeś go pan i w twarz mu je rzuciłeś! — wtrącił Bergström.

Pauli spojrzał nań z uśmiechem.

Bynajmniej! — rzekł wesoło — to zepsułoby mi całą zabawę, pomijając już to, że naraziłoby [illegible]ie może na coś gorszego; z niektórymi l[illegible] trzeba być bardzo ostrożnym. Nie, przeci[illegible] wyraziłem mu moje żywe współczucie i ża[illegible]znałem, że napisanie listu do pastora, było [illegible]zynem niegodnym, że nie wierzę, by tak surowo moralny charakter itd. itd. Zapewniam pana, znakomicie się ubawiłem, jednem słowem znakomicie!...

Wtem nadeszła Engelke... tu przerwał, patrząc złośliwie na Bergströma.

— No, a czy ona nie zepsuła panu zabawy? spytał tenże.

— Wszak ona sama ściągnęła dobrowolnie karę na swą głowę, bo gdyby nie ów list.... nicby nie było!... Widocznie jednak czuła niesłuszność swego postępku, bo gdy wszedłem do jej pokoju, by ją zawezwać, drżała, zapewniam pana, na całem ciele... Wróciwszy znowu do Nörgaarda, podburzyłem go jeszcze trochę przeciwko niej, sam zaś, gdy przyszła, usunąłem się w kąt pokoju, z zamiarem zachowania się podczas tego, co miało nastąpić, zupełnie biernie... Przyznam się, że byłem nawet ciekaw, jak Engelke przyjmie wyrzuty Nörgaarda, bo z moich nic sobie, rozumie się, nie robiła... Teraz była cichą, potulną jak baranek — drżącą, łagodną, przybitą w poczuciu wielkiej swej winy. A chociaż on nie dobierał szczególnie wyrazów, ani słowa na własne usprawiedliwienie nie wyrzekła. Ja zaś tam w moim kącie czułem się zupełnie zadowolonym. Wie pan, może również zrobiłeś kiedyś to doświadczenie: jest „pewna przyjemność... ma to pewien, że tak powiem... urok przyglądać się, gdy człowiek przed czemś z całem namaszczeniem, z całą wiarą kornie chyli głowę, co zdaniem naszem jest blagą i kłamstwem! Doznaję tego samego uczucia na widok wielkiej bogobojności u ludzi szczerze wierzących... zupełnie to samo. Jakoś to człowieka przyjemnie drażni... tak, to może uczucie przewrotne, ale niemniej przyjemne, stanowczo przyjemne!...

— Co za cynizm niesłychany!

— Cynizm? jak pan to rozumie?

— Na cóż opowiada mi pan o tem wszystkiem? czy nie widzisz jak mnie tem dręczysz? Sądzi pan może, że nie pojmuję, jak okrutnie obeszłeś się z Engelką? czy tak?

— Ależ posłuchaj, mój drogi! — przerwał mu Pauli — pocóż mamy wzajem odgrywać komedyą; udane oburzenie pańskie zupełnie mi nie imponuje. Wie pan o tem dobrze, jaki istnieje między mną a córką moją stosunek: nienawidziła mnie zawsze — nie wiem dla czego, — lecz to odziedziczyła najpewniej po matce — a to oddziaływa zawsze na drugich. Byłoby zatem szaleństwem z mej strony gdybym udawał miłość ojcowską przed panem, który tak dobrze, znasz nasze stosunki domowe... czyż nie tak? Gdybyś nawet był w niej jeszcze zakochany, czego nie przypuszczam, przyznać mi pan musisz, że stojąc na moim względem niej stanowisku, znając jej uczucia dla mnie, najmniejszego nie mam powodu obchodzić się z nią inaczej, jak każdy inny obojętny człowiek. Nie może tu być mowy o jakiejś krzywdzie!

— A jednak tak jest! — przerwał niecierpliwie Bergström — postąpiłeś pan względem niej nie po ludzku! wiedząc o tem, jak jest wątłą, delikatną...

— Cóż uczyniłem takiego? zrobiła głupstwo olbrzymie, które ja na mojej skórze najwięcej bym poczuł, z powodu — że tak powiem — koleżeńskiego z tym chłopcem stosunku — więc dostała burę. A cóż więcej?... Przecież ja temu nie jestem winien, że ci odesłała pierścionek...

czyn, ale zaraz po chwili Połaniecki pięknieje, lecz na krótko, bo oto przychodzi list od Waskowskiego i Połaniecki daje go do przeczytania Maryni. W liście tym Waskowski udziela zawcześnie rad Połanieckiemu jak ma wychowywać dzieci. Pokazanie takiego listu Maryni niekoniecznie było na miejscu, ale to nic jeszcze, to darować można. Wiemy, że Korzeniowski sam pisał listy tego rodzaju do swej narzeczonej. Ale Połaniecki mówi do Maryni: „Czy pani słyszała co podobnego? Jeszcze do ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszemi dziećmi... — i pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać: „a co pani mowi na ten list?“ A kiedy Marynia z oburzeniem mu odpowiada: „Pan nie powinieneś się zemną tak obchodzić“, Połaniecki naprzód się śmieje, a potem wpada w gniew, porywa za kapelusz i wychodzi. Tu nie ma dla niego uniewinnienia: jest, krótko mówiąc, wstrętnym, ordynarnym. Niedawno oburzał się na farbowanie policzków kobiecych, a teraz sam farbuje policzki własnej narzeczonej. Ale na szczęście on to sam czuje, powraca więc i przeprasza ze skruchą Marynię, pięknieje na nowo i utrzymuje się już na tej wysokości aż do chwili, gdy staje się panem i władzcą Maryni.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z za kulis literatury niemieckiej.

Rzemieślnicze traktowanie literatury nadobnej. — Dlaczego ta literatura w Niemczech upada? — Rola księgarza-wydawcy i jego wpływ ujemny. — Obojętność dziennikarstwa dla powieściopisarzy. — Dawniejsza decentralizacya życia literackiego. — Berlin-Mologh. — Stempel berliński na utworach teatralnych. — Klika krytyków berlińskich. — Paweł Lindau i jego handel odświeżaną starzyzną. — Szablon powieści „berlińskiej“.

Tło piśmiennictwa niemieckiego pozostaje w odwrotnym stosunku do potęgi zjednoczonego cesarstwa. Im państwo silniejsze — tem ożywcze prądy literackie słabsze; wyższość miecza nad pracą umysłową, przewaga młodego oficera nad sędziwym profesorem wszechnicy, wogóle wyciskają smutne piętno na ruchu piśmienniczym. Epoki takie, znane już w dziejach, podcinają skrzydła natchnieniu. Przygnębiająco również działają na literaturę chwalebne pod innym względem przymioty niemców: ich systematyczność, niechętnie szukająca dróg nowych, bo czerpiąca swe istnienie z niewolniczego naśladowania szablonu, ich miara we wszystkiem, lecz nie artystyczna, jeno wierząca w cyfry i linie geometryczne, ich umysł kupiecki, który usiłuje wszędzie i zawsze wyciągnąć zysk pieniężny, a twórczość poetycką wyraża miarą twórczości fabrycznej. Dzisiejsze piśmiennictwo tedy naszych najbliższych sąsiadów robi wrażenie olbrzymiego warsztatu, którego robotnicy codziennie dostarczają żądanej ilości towaru, rzemieślniczo, bo jednostajnie i niezbyt wybornie obrobionego.

Powyższe zapatrywania nie wypłynęły bynajmniej z plemiennej niechęci; są one wiernem odbiciem poglądów tych nielicznych niemców, którzy nie porwani ogólnym prądem, stoją na jeszcze wychylającej się z oceanu mierności wyżynie dawnej poezyi i dawnej nauki niemieckiej. Twarze ich blade, a czoła zasępione, bo czują, że ogół nie rozumie pieśni, śpiewanej na nutę podniosłą. Skarżą się oni, że wydawcy odtrącają każdy utwór, artystycznie obmyślany, a opierający się na głębszej, czy to społecznej, czy to psychologicznej tendencyi. Czytelnicy pożądają wrażeń, gorączkujących wyobraźnię, utwór może być i nieprawdopodobnym i licho napisanym, byleby tylko intryga podniecała ciekawość, a scena za sceną sprowadzała nowe niespodzianki bądź krwawe, bądź zmysłowe. „Wydawca dziennika — pisze B. v. Suttner w „Magazin für die Lit. des In- und Auslandes — w ten sposób rozumuje: Celem mego przedsiębiorstwa powinno być zjednanie jak największej liczby prenumeratorów; znaczna ilość tych ostatnich pożąda jedynie lekkiej rozrywki, ponieważ ich poziom umysłowy jest zazwyczaj niski. Muszę tedy towar mój, jeżeli chcę liczyć na dobry odbyt, w ten sposób przyrządzić, aby on i owemu pożądaniu i owemu poziomowi w zupełności odpowiadał. Pracownik, któremu poruczę to zadanie, jest obowiązany stosować się do owych warunków; ja zaś najlepiej zapłacę za rzecz, która przyniesie mi największy zysk“. Jakże wobec takiego żądania zachowa się pisarz? „Poeta — pisze dalej B. v. Suttner — którego pracą pogardzono, właśnie z powodu jej wytworności, nie powinienby pod żadnym warunkiem zniżyć się do wymagań nierozwiniętego tłumu. Niestety przecież tylko nieliczna garść kochanków Muzy oddaje hołd owej wzniosłej zasadzie. Pierwszem bowiem marzeniem każdego piszącego jest być czytanym. Dla siebie nikt nie tworzy. Nadto trzeba pamiętać i o wynagrodzeniu, szczególe wcale nie podrzędnym, gdyż umożliwia on dalszą pracę ludziom, pozbawionym innych źródeł dochodu. A zresztą wysokość tego wynagrodzenia w oczach gawiedzi stanowi zarazem, niesłusznie wprawdzie, probierz talentu; kto więcej zarabia, ten podług niej musi być zdolniejszym“. Takie to względy skłaniają pisarzy do porzucenia wyższych szlaków i wykonywania żądań wydawcy.

Na końcu artykułu znachodzimy jeszcze jedno znamienne ubolewanie: „Dziennikarstwo nasze nie troszczy się o wydobywanie na wierzch imion, zasłużonych w piśmiennictwie nadobnem. Przeważnie bowiem milczy o ruchu twórczym, wbrew postępowaniu dzienników zagranicznych, które pojawienie się dobrego dzieła uważają za doniosłe zdarzenie, godne najobszerniejszego omówienia. Pomijając wreszcie gazety polityczne, musimy zaznaczyć, że nawet tygodniki, wyłącznie poświęcone powieści, nie otwierają swych łamów dla ocen literackich; co więcej, nie spotykamy ogłoszeń księgarskich, ponieważ nakładcy nie chcą płacić kilkunastu marek za anonse. Nieliczni tylko powieściopisarze zdobywają szerszy rozgłos.“

Widzimy, że dola literata niemieckiego nie jest godną zazdrości i nie odpowiada potędze oraz rozwojowi cywilizacyjnemu jego ojczyzny. O nadużyciach krytyki, zakażonej sprzedajnością, pomówimy innym razem. Dzisiaj wystarczy streścić powyższe fakta w twierdzeniu, że niezdrowe stosunki społeczne zrodziły przygnębiający byt dla literata, wskutek czego pojawiają się utwory bezkrwiste, okaleczałe i skazane na zagładę.

Do wzrostu piśmiennictwa oraz sztuki niemieckiej przyczynił się dawniejszemi laty podział władzy między kilkudziesięciu królów i książąt. Każdy dwór był zbiornikiem, zaopatrującym w świeżą, a ożywczą wodę spory szmat kraju. Zbiorniki owe działały miarowo i trwale; dzięki im poeci i myśliciele tworzyli swe dzieła, kwitnęły teatry, kierowane przez wzorowych intendentów, do których to i Goethe należał, malarze znajdowali pracę, a więc i możność wyrobienia się i chleba kawałek. Tymczasem dzisiaj część wody spływa do wielkiego zbiornika, zawsze zabagnionego, do stolicy zjednoczonego cesarstwa. Tam, gdzie panowało zadowolenie z samodzielności, dzisiaj rozpościerają się marzenia tylko o minionej sile; gdzie ochotnie rzucano dukatami na ołtarz Muz celem oprowienienia rządów, obecnie z przerażeniem oddaje się ostatnie zapasy na wojsko Hohenzollerów. Smutny los zaiste przypadł w udziale niemieckim rodzinom panującym, które od 1866 roku poświęciły dużo miłości własnej i strumienie krwi swych poddanych w tym celu jedynie, aby na własnym karku w cztery lata później postawić stopę obcego dynasty.

Berlin zmienił się w olbrzymiego pająka, ktory zagarnął dla siebie władzę polityczną, a nadto żąda pierwszeństwa na każdem polu. Jego sieci ogarniają życie społeczne, naukowe, piśmiennicze, wreszcie teatralne. „Dramat musi otrzymać chrzest wodą, zaczerpniętą ze Szprewy — utyskuje wybitny krytyk, Rudolf Stegmann — jeżeli chce zdobyć powodzenie w Niemczech. Pomijając miejsce, gdzie się rozgrywa, nabiera

---

Bergström nic nie odpowiedział.

Po chwili zaczął znowu Pauli:

— Teraz dopiero zaczynam rozumieć: do dnia dzisiejszego byłem przekonany, że zupełnie świadomie zmierzałeś do zerwania — obecnie widzę, że było to wynikiem... niedołęstwa twego... a grałeś w nieszczęśliwe karty mój przyjacielu!... Pocóż naprzykład pisałeś pan ów list fatalny?...

— Jaki list?

— Dalibóg, że nie wiem, co zawierał! Lecz... w kilka dni po odwiedzinach Nörgaarda przysłał pan jej list jakiś, którego rezultatem było to, że natychmiast zerwać z panem postanowiła. Była tym razem tak łaskawą, że i mnie zawiadomiła o tem, co czynić zamierzała. Jakże mogłem przypuszczać co innego jak to, że krok ten w najzupełniejszej jest zgodzie z pańskiem życzeniem, tem bardziej, że i pierścionek twój, w parę zaledwie godzin po odesłaniu pierścionka Engelki zwróconym jej został. A rozumie pan teraz, że wobec tego straciła ona wszelką odporność przeciwko czarującemu wpływowi Nörgaarda. W ten sposób sam popchnąłeś ją w ręce rywala swego... Zważ Pan, że wówczas, kiedy posyłała po Nörgaarda, chciała go zapewne tylko o przebaczenie prosić, nic więcej; nie przypuszczała nawet, że sprawa taki przybierze obrót... To pańskie wyłącznie dzieło... niema wątpliwości!...

Nastało dłuższe milczenie.

— Pan wydaje się być obrażonym? — rzekł znowu Pauli — sądzi pan może, że moim obowiązkiem było przeszkodzić zerwaniu? Czy takiem jest zdanie pańskie?

— Bynajmniej!

— No tak, widzi pan, zresztą nie wiele by to pomogło nawet... nie, mój przyjacielu, ta rzecz już na zawsze skończona, a szczerze mówiąc, nie masz powodu biadać!... Bądź człowiekiem rozsądnym, umieść ją między twojemi wspomnieniami młodości — i zachowaj „c o m m e u n b o u q u e t d e f l e u r s p a l e s“ jak powiada Musset.... Wspomnienia, które w młodości wywołują rzewny, tęskny nastrój, są w latach późniejszych źródłem przyjemności największych, gdyż długi czas są zadziwiająco świeże... a takie lekkie, delikatne jak nieuchwytna woń kwiatu... Tak, tak, uczyń jak ci radzę. A prawdę powiedziawszy, nie widzę powodu, dla którego my mielibyśmy się rozejść, — niejedną wszak przyjemną spędziliśmy chwilę; zapewniam pana, że mimo wielu niezbyt przyjemnych rzeczy, które mi dzisiaj powiedziałeś, nie czuję najmniejszego do ciebie żalu a sądzę, że i pan do mnie nie masz urazy. Dla czegóż więc nie mielibyśmy nawiązać na nowo dawnego przyjacielskiego stosunku?... Gdy zaś Engelke miłego swego wielbiciela poślubi i dom opuści, — wówczas...

Bergström zerwał się z krzesła. Szybko chodzić począł po pokoju, w którym teraz oprócz nich nikogo nie było. Coś go kłuło i niepokoiło... zmarszczki na czole uwydatniały wyraz cierpienia...

Pauli ścigał wzrokiem jego ruchy.

— Nie, dalibóg, to nie do pojęcia! — zawołał teraz Bergström.

— Co takiego?

— Wszystko; nie mogę nawet wyobrazić sobie związku między Engelką a tym człowiekiem — to niemożliwe... Już chociażby dla tego, że ona zna.. przecież jego życie dawniejsze!...

— Ona nie zna jego życia dawniejszego!

Bergström nagle przystanął.

— Co to znaczy — zapytał — nie zna? ależ ja sam jej o niem opowiadałem!

— Tak, ale cóż, kiedy ona temu nie wierzy?

— Nie wierzy....

— Nie. Gdyż on temu zaprzecza, rozumie się, a jemu wierzy...

— Ale pan, pan powinien...

— Cóż powinienem?

— Pan powinien jej wszystko wyjaśnić!

Pauli rozśmiał się.

Nie, tego dalibóg, nie uczynię pod żadnym warunkiem!...

Bergström spojrzał na mówiącego.

— To szkaradne! — zawołał oburzony — to niesprawiedliwość o pomstę krzycząca, grzech nie do przebaczenia, jaki pan względem niej popełniasz! Bezecne oszustwo!... Boże mój!

on znaczenia — opuszczam nieliczne wyjątki — w takim razie. jeżeli rozpoczyna wędrówkę po scenach prowincyonalnych z Berlina; dawniej ów przywilej służył Wiedniowi; dzisiaj znajduje uznanie dyrektorów to tylko, co berlińczyk obmyślił i napisał, berlińscy reżyserowie pchnęli na scenę, berlińscy agenci teatralni mają na sprzedaż, a zwłaszcza każdy utwór, obsypany pochwałami krytyki berlińskiej. Niemcy szukają swych dramatycznych mesyaszów na bruku stołecznym wbrew okolicznościom, że potężnie rozwinięte dziennikarstwo berlińskie utworzyło zwartą, a stronną klikę, oraz, że berlinczycy celują jedynie w farsie. To też w koszu nowości stołecznych, rozrywanych na wszystkie strony, leży sporo utworów lichych, zachwalonych przez klikę; dzielne pióra natomiast, pracujące w Stuttgardzie lub Wejmarze, Karlsruhe lub Mannheim, bądź to łamią się w walce z berlińskimi współzawodnikami, bądź zyskują rozgłos dopiero po długoletnich, a ciężkich wysiłkach."

To samo zjawisko można spostrzedz i w powieściopisarstwie.

Większą część utworów bellestrycznych, wydanych w ostatnim dziesięcioleciu, odmalowano na tle życia stolicy. Przyczyną tego wpływy rozliczne. I tak młode niemcy pod wodzą Bleibtreua idą śladem francuzów. „Dlaczego — woła ta garść, niewiadomo, czy więcej zdolna, czy bardziej zarozumiała — nie posiadamy „romansu berlińskiego", tak, jak jest „romans paryski", uprawiany z siłą oraz z wdziękiem przez Daudeta i rzeszę naśladowców mistrza? Max Kretzer był pono pierwszym z młodych, który świadomie hasło zamieniwszy w czyn, stworzył „Zmarnowanych", wielki obraz, pełen wad w układzie i charakterystyce postaci, lecz owe niedostatki okupujący namiętnem współczuciem dla startych na proch nie z winy własnej.

Od chwili pojawienia się „Zmarnowanych" minęło lat kilka; ilość powieści, czerpanych z życia stolicy, wzrosła niepomiernie; młodzi bowiem pojęli szybko, że właśnie ten rodzaj jest taranem, najbardziej podatnym do burzenia tamy, usypanej z wstecznych zachcianek rządu młodego cesarstwa. Pobudki wyłącznie artystyczne zmięszano więc z pragnieniami społecznemi, które dzisiaj są obce jeszcze dla ogółu czytelników: dla tego też wziętość nieprędko opromieni nazwiska nowatorów.

Istnieją atoli inni pisarze, którzy z wielkim hałasem puszczają w świat „powieści berlińskie", rzekomo realistyczne, rzekomo prawdziwe; w istocie zaś owe utwory — to mięszanina frazeologii, kilkunastu powierzchownych spostrzeżeń, kilkudziesięciu dobrych sytuacyi, skradzionych Zoli, kilkuset paradoksów, bądź to własnych, a więc lichych, bądź to olśniewających, a więc pożyczonych na wieczne nieoddanie u sąsiadów z nad Sekwany. Dzierżącym poczestne miejsce wśród tych aptekarzy, inaczej nazwać ich trudno, jest Paweł Lindau, krytyk, dramaturg, dziennikarz, powieściopisarz, a naprawdę świetny kupiec, handlujący odświeżaną starzyzną. Przebija się tutaj w Pawle Lindau rasa: jest on bowiem żydem i typem zarazem literata żydowskiego,

Autor powieści „Arme Mädchen" prędko znalazł naśladowców, którym ta nowość pozwalała nabyć po zniżonej cenie zaszczytny przydomek „eines modernen Dichters", nie zmuszając ich ani do naukowego zgłębienia społecznych zawiłości, ani do poważnego badania wielkomiejskiego bytu. Lekki chleb, jak wiadomo, kazi ułomną naturę ludzką. Jeden czarny charakter przebrany za bankiera lub barona, uprawiającego sport koński albo kobiecy; szlachetny hrabia i jeszcze czystsza jego córka; cnotliwy bohater, będący porucznikiem lub asesorem sądowym, w najgorszym razie technikiem, lub o hańbo, literatem; kilkunastu robotników z żonami i dziećmi — oto bohaterowie i chór; salon, ulica i tingel-tangel — oto scena; Numa idzie za Pompiliusza po licznych przeszkodach — oto druciany szkielet takiej powieści, odarty z waty opisów, romansowań, przysiąg, gróźb i łez wyciśniętych smutkiem, bądź radością, wedle potrzeby.

To już nie literatura. nie artyzm, ale rzemiosło!

ORZEŁ.

(STARA BAJKA.)

Mężny władca górskich szczytów
Wielki orzeł jasnopióry
Wolny bujał u błękitów,
Wolny wzlatał pod lazury.
W gnieździe drobne miał orlęta
I orlicę białą, młodą —
Szczęścia złote zdobył pęta
Piersią wolną i swobodą.
Wolny, jasny w szczęścia zorzy
Z burz wichrami szedł w zawody —
Każda walka siłę mnoży,
Każde ciernie daje płody.
Lecz raz kiedyś strzały lotem
Zdobycz goniąc dla rodziny,
Spadł na ziemi pierś z łoskotem
W Podhalańskich gór doliny.
Góral kulką strącił skrzydła,
Schwytał władcę górskich szczytów!
Znalazł orzeł klatki, sidła,
Miast przestworza i błękitów.
Wygojono skrzydła w klatce,
Za karm martwe mięso dano; —
Bezwładnego w nowej szatce
Orła ludziom pokazano.
Znojnych długich lat trzydzieści
Przeżył orzeł za kratami —
W niemej, srogiej swej boleści
Za swobodą płakał łzami.
Dziób mu zgiął się, — oślepł prawie,
Z ducha szczątki pozostały......
Przestał tęsknić już w niesławie
Skalny gazda posiwiały!
Gdy dozorca nieostrożny
Raz otworem drzwi zostawił, —
Zbudził duch się stary, możny —
Długo w klatce nie zabawił.
Odrętwiałe rozpiął loty,
Pomknął chyżo na przestworza —
Na słoneczny promień złoty,
Na niebieskiej dali morza!...
Leci — leci orzeł stary,
Czuciem pędzi w swe oddale,
Nad skaliste ciemne jary,
Ponad turnie, ponad hale.
Oto jego drogie skały,
Tam rodzinne gniazdo jego!...
Gdzieście dzieci się schowały?...
Powitajcie ojca swego!...
Nie ma gniazda... tylko szczątki,
Dzieci poszły w świat daleki!...
Puste, nieme skał zakątki
Pozostały dla kaleki.
Spuścił loty orzeł stary,
Pociemniało w bladych oczach —
Jęk przeleciał turnie, jary —
Zamilkł w sinych chmur roztoczach!
Stokroć gorsze niźli w klatce
Począł tutaj pędzić życie,
Na rodzinnej ziemi matce,
Tęskniąc nocą i o świcie.
Ród nim orli poniewierał,
Chłodem wicher ziębił ciało,
Groźny, częsty głód doskwierał,
Duszę życie złe szarpało.
Sam, samotny na przełęczy —
Silny, sławny ptak zamłodu
W purpurowej nieba tęczy
Stary orzeł skonał z głodu!

Probierczyk.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Projekt

założenia w Hamburgu stałej wystawy wzorów przemysłu i gospodarstwa polskiego*).

Na wywody szan. autora artykułu „Wywóz z Polski", zamieszczonego w numerze 1 „Przewodnika handlowo - geograficznego godzę się zasadniczo. Jeżeli jednak mimo to niektóre

*) Autor tego artykułu p. T. Filipowicz, kupiec w Hamburgu, członek polskiego Towarzystwa handlowo-

pomyśleć sobie, że ona na całe życie z tym szkaradnym urzędnikiem się wiąże!... ona tak delikatna... ohydne! jak pan może na to zezwolić!... to być nie powinno!

W największem rozdraźnieniu przebiegać począł pokój.

Czy nie widzi pan całej ohydy tego związku?!... — rzekł.

Pauli patrzał nań zdziwiony.

— Ależ zanadto się tem przejmujesz, mój drogi! dalibóg, blizki pan płaczu...

— Sam nie wiem już, co się ze mną dzieje; wiem tylko, że pan szkaradnie postąpiłeś! Pan chyba nie czujesz, że zbrodnię popełniasz? wszelkich uczuć jesteś pozbawionym!

Pauli spokojnie patrzał na mówiącego.

— Wystarczyłoby przynajmniej do dziesięciu procesów o obrazę honoru to, co przed chwilą powiedziałeś — odparł ze zwykłym uśmiechem — jeszcze bardzo jesteś młody, a przytem nie zna pan zupełnie kobiet, mimo wszystkich swoich doświadczeń. Powiada pan, że grzechem jest ukrywać przed Engelką przeszłość Nörgaarda, a ja panu powiadam, że grzechem byłoby postąpić inaczej; a po mojej stronie jest słuszność!

— Nie mów pan, proszę, o grzechu względem niej! — zawołał Bergström — czy nie czuje pan, jak to dziwnie brzmi, gdy o tem mówisz?... Nie, mój Panie, znam pana na wylot i widzę doskonale, że nikt inny, tylko pan sprawą tak pokierowałeś z obawy przed mściwą ręką Nörgaarda... Z tchórzostwa to zrobiłeś! Nörgaard ma teraz broń przeciwko panu, boisz się jego zemsty brutalnej! to wszystko!... i dla tego poświęca pan dla swego spokoju córkę... Ale, być może, że jeszcze nie wszystko w sprawie tej skończone — dodał groźnie.

Pauli zmęczonym wzrokiem nań spojrzał.

— Drogi Bergström — rzekł — niemożebnem jest mówić z panem o najprostszych rzeczach, bo zaraz w gniew wpadasz, a w takim razie nigdy się nie zrozumiemy. Nawet mnie to dziwi — przyznam się — miałem pana zawsze za człowieka o dość spokojnym temperamencie... Ale, o czem to mówiliśmy... a tak, przyznałem się panu, że Nörgaard jako przyjaciel, niezbyt mi jest sympatycznym, tem mniej więc, jako nieprzyjaciel; a nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym Nörgaarda koniecznie wrogo względem siebie usposobić... nie przerywaj mi pan! Jak już powiedziałem przedtem, pan stanowczo nie zna Engelki; ja zaś, przebywając tyle lat z nią razem, a nie będąc w niej — jak panu wiadomo — bynajmniej zakochanym, mogłem o wiele lepiej ją poznać, niż pan... Mogę też pana zapewnić, nie uwierzysz mi zresztą, że ona przywiązaną jest do Nörgaarda. Nie zapominaj pan, że zna go od dzieciństwa, że może go kochała nawet, zanim pana poznała — świadomość zaś, że teraz, mimo wyrządzonej mu krzywdy znowu do niej powraca, także swój wpływ na nią wywrzeć musi. Ona taka sentymentalna! Dodaj pan do tego jeszcze i tę okoliczność, że on się stara jej przypodobać, wprawdzie na swój sposób, ale zawsze widać, że dba o jej względy, to też nie jest bez znaczenia. A pominąwszy już to wszystko, otacza ona postać jego aureolą męczeństwa, co w oczach jej jest najważniejszem! Sam opowiadałeś mi pan, jaką jest pod tym względem Engelke; uważa się ona za kapłankę świętej sprawiedliwości, Nörgaard zaś jest owym prześladowanym, niesłusznie cierpiącym, spotwarzonym, a do tego z jej powodu, chociaż mimo jej woli! A czy pan zna kobiety? muszą one bałwochwalczo ubóstwiać, korzyć się w prochu, inaczej nie są szczęśliwe! Dopóki nie znajdą, lub dopóki nie sądzą, że znalazły człowieka, który dla nich jest bogiem, tak długo nie czują się szczęśliwemi. Właściwą siłą kobiety, jak powiada Goncourt, jest nadmiar we wszystkiem, to szczera prawda: Tak więc mają się rzeczy, mój panie, a kto wie, czy obecna, pełna czci obawa Engelki nie zamieni się czasem w silne uczucie. Znając ją, można nawet przypuszczać, że doskonale się uzupełniać będą, w każdym razie lepiej niż z panem.... A więc, czegoż chcesz więcej? Czy teraz z całą stanowczością utrzymujesz, że należałoby zburzyć tę, ewentualnie szczęśliwą przyszłość Engelki, ku której zmierza? Zbu-

ustępy artykułu omówię, to uwagi moje niech posłużą jako dopełnienie. I ja uznaję wspólnie z autorem wielką doniosłość polskich wystaw nieustannych i dopełniających wciąż naksztalt tutejszych mnogich „Exportmusterlager" jakich urządzenie autor proponuje w Hamburgu i Bremenie. Natomiast uważałbym za ujemne urządzenie stałej wystawy wzorów polskich w gmachu giełdowym tutejszym a to z następującego powodu. Hamburgska wystawa wzorów, utrzymywana stale w hali giełdy tutejszej ma bezwarunkowo doniosłe znaczenie, ale dla tych tylko firm eksportujących, których fabrykaty i imię nietylko tutaj, ale na wielu rynkach zbytu oddawna zażywają wziętości i są renomowane, a które nadto mają tutaj swych agentów, którzy w razie potrzeby w celach reklamy i sprzedaży oprowadzają swą zamorską klientelę po hali giełdowej. Tymczasem firmy i fabrykaty nieznane, chociażby w hali giełdowej najokazalej się przedstawiały, nie zyszczą realnie na tej wystawie nic, lub względnie mało. Przypuszczam, że Polacy zechcieliby wystawiać tam swe wzory, to nietylko, że mało kto się o nie będzie pytał, ale domy eksportowe a specyalnie reprezentanci czyli agenci firm eksportowych niemieckich oraz obcokrajowych widząc w wytworach polskich nowego konkurenta, odrazu jeżeli nie będą ignorować wystawy polskiej, z całym impetem rozpoczną walkę i odrazu bądź ustnie, bądź piśmiennie udaremnią zabiegi nowicyuszów i odejmą im wszelką chęć wystawiania nadal wzorów swych a nadto sparaliżują w ogóle wszelkie zamiary wywozu.

Wiadomo, że świat handlowy bez reklamy żyć nie może. Jeżeli więc kraje polskie chcą eksportować, nieodzowną będzie potrzebą reklama a w takim razie inną proponuję drogę jako najpraktyczniejszą a najdogodniejszą zarazem. Otóż 50 fabrykantów czyli przemysłowców zobowiązuje się utrzymywać w Hamburgu stałą a dopełnianą bezustannie wystawę wzorów pod dozorem reprezentanta Polaka, fachowego kupca wtajemniczonego w wszelkie tajniki eksportu.

geograficznego, zamierza w jesieni przybyć do Lwowa, aby osobiście kwestyę tę omówić. Sprawą założenia stałej wystawy w Hamburgu zajmuje się Towarzystwo handlowo-geograficzne. Zapowiedziany jest udział pewnej liczby przemysłowców z Królestwa polskiego. Nie wątpimy, iż kupcy i przemysłowcy galicyjscy i poznańscy przyłączą się do wspólnych usiłowań. Sprawa jest na czasie i aktualną. Jak donosi „Nowoje Wremia" rząd rosyjski zamierza dać inicyatywę do założenia w Hamburgu podobnej wystawy wzorów przemysłu rosyjskiego. Byłoby pożądane, aby przemysł polski Królestwa był odrębnie reprezentowany, gdyż w ten sposób umożebnionyby został udział przemysłowców galicyjskich i poznańskich, którzy na razie sami własnym kosztem nie mogliby utrzymać tej wystawy. Należy więc w sprawie tej pospiesznie działać. (P. R.)

Celem utrzymania tejże wystawy zobowiązują się owi przemysłowcy polscy każdy po 200 do 300 reńskich płacić rocznie (w latach późniejszych opłata będzie naturalnie o wiele niższa).

Na utrzymanie wystawy wzorów potrzeba z początku znaczniejszego nakładu. Musi ona bowiem być umieszczoną w śrdnicy miasta, w centrum ruchu handlowego, blizko giełdy, w odpowiednim gmachu, być dobrze oświetloną i wzorowo i z pewną elegancyą urządzoną, w ogóle być czemś, co wpada w oczy i co się podoba. Wystawa w skromnym lokalu i skromnie urządzona ulegałaby najzupełniej konkurencyi tutejszych z komfortem i bogato urządzonych mnogich „Exportmusterläger." Nadto drukowana reklama pochłania nie małe sumy. Ale główną podstawą wszystkiego jest doskonały reprezentant. Ten bowiem świadomy celu, obeznany z światem handlowym, dzielny jako kupiec-agent, jest dla przemysłowców wystawców osią ich powodzenia. Bez reprezentanta doskonałego wystawa polska byłaby martwą i bez zysku, dopiero on zdolen nadać sprawie kierunek właściwy, a jeżeli fabrykat polski jest dobry i konkurencyjny, to z czasem zrobi sobie tutaj uznanie, imię i wielką a dobrą klientelę.

Znając stosunki ruchu eksportowego w Hamburgu gorąco zalecam nietylko wystawę wzorów polskich w Hamburgu, jako konieczność, nie w hali giełdowej, lecz osobno, utrzymywaną przez właściwego reprezentanta, jednostkę lub firmę polską, dającą gwarancyę i kwalifikującą się na takie stanowisko ważne. Sumiennie zaś zaręczyć mogę, że kapitał wyłożony na wystawę polską (300 guldenów nie może się wydawać wygórowane) nie jest stracony, ale jest jedną z podstaw powodzenia eksportu polskiego. Agent jako reprezentant nie pobiera nic, jak tylko pewien procent od towarów przezeń zamawianych w kraju u Polaków.

Dotykam teraz kwestyi ważnej. Szanowny autor dochodzi do wniosku logicznego, ale jak się zdaje, mało praktycznego, jakoby ze względu na lepszy zysk zalecało się eksportować wprost za morze za pośrednictwem spedytora, a z wykluczeniem domów eksportowych. Za zdaniem autora przemawiają dwa czynniki, oto najprzód, że ekspedytor polski nie potrzebuje opłacać kosztów i tracić pewną część zysku na ręce tutejszych lub innych domów eksportowych a potem, że się zapoznaje wprost z zamorskim kupcem-nabywcą. Przytaczam teraz ujemne strony tej zasady. Przemysłowiec polski zbywając towary przez reprezentanta-agenta na ręce domu eksportowego najprzód towar sprzedaje wcześniej, niż za morzem mimo depesz (w rzadkich razach i dopiero przy trwałych stosunkach depesze mogą się zalecać). Nadto w portowych miastach Europy, a zwłaszcza w Hamburgu łatwo się dowiedzieć o dobroci firmy eksportowej odnośnego portu, bądź przez reprezentanta, który tylko solwentnym, to jest w płaceniu pewnym firmom towar sprzedawać będzie, bądź wprost przez odnośne biura informacyjne itd., o ile zaś można z firmami zamorskimi wejść w układy, ile im zaufać, jak wysokiego kredytu udzielić, są to wszystko pytania na razie dla eksportera nowicyusza za dalekie. Tu płacą gotówką, bądź zaraz, bądź w przeciągu miesiąca, tam, za morzem, regulują się faktury za pomocą trat i akceptów a udziela się ich na cztery miesiące, jeżeli nie wymagają kupcy-nabywcy zamorscy kredytu otwartego na 6, 8, 12 miesięcy. Tu stosunki więcej normalne, mniej krachów, tam niejasne, niepewne, nieświadomego fabrykanta europejskiego narażają nieraz na ogromne niebezpieczeństwo i straty. Od akceptu do otrzymania zań gotówki daleko. Z tem wszystkiem później i tego rodzaju interes ma swoją racyę bytu. Gdyby wywóz wprost przedstawiał się w rzeczywistości tak łatwo i tak korzystnie, załatwiałyby firmy niemieckie od dawna wprost zamorski handel, ale fakt, że domy eksportowe miast portowych Hamburga i Bremy od dawna cieszą się wziętością, powodzeniem i rozrastają się coraz więcej powagą i liczbą powinien nas przekonać, że jedynie racyonalnem jest używanie pośrednictwa tychże domów. Setki Niemców, eksportujących wprost, dopiero po wynikłych ztąd wielkich stratach pieniężnych zaprzestali tego rodzaju zbywania produkcyi, aby z zaufaniem i z pożytkiem korzystać z wielkich udogodnień, które przedstawiają domy eksportowe. Dalej reprezentant wyrobić może przemysłowcom właśnie przez owe domy eksportowe najrozmaitsze udogodnienia, bądź tańsze frachty, bądź najniższe premie asekuracyjne itd. zapewniając czego ani spedytor, ani sam fabrykant w takiej mierze nie mogą uskutecznić.

Jak później będzie, gdy eksport polski wyjdzie już z zawijaków, gdy spotężnieje, i już z zupełnie innemi czynnikami się liczyć może, o tem dziś nie warto mówić. Dziś o to nam starać się trzeba przedewszystkiem, aby nietylko wiedzieć, jakie są zapotrzebowania zamorskie, w szczególności rodaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w Brazylii w stanie Parana, ale poczuwać się przedewszystkiem do obowiązku społeczno-narodowego i szukać wszelkich dróg możliwych do eksportu a w nich wszelkich możliwych korzyści i udogodnień celem podniesienia przemysłu krajowego. Dziś nam Ameryka jeszcze zbyt obca, więc poznać ją bliżej musimy, i zbadać dokładnie, a co główna, wzbudzić u tamtejszych rodaków, którzy

---

rzyć wyjaśnieniami, któreby zapewnie o nowy ją przyprawiły niepokój i zwątpienie, — teraz, kiedy nareszcie odzyskała równowagę? Mówisz, że ją kochasz. W takim razie nie zechcesz, ażeby tak głupio z nią postąpiono.

— A jednak tego, a nie innego jestem zdania! — rzekł Bergström — wszak to kłamstwo., rozważ pan, że wszystko to na kłamstwie spoczywa!...

Pauli brwi ściągnął gniewnie.

— Kłamstwo, powiada pan! nie jest to więcej kłamstwem od wielu innych rzeczy w małżeństwie, o których nikomu nie przyjdzie na myśl wspominać! Cóż to ma znaczyć, mój panie, że uzbroiłeś się dzisiaj w naiwność udaną? – wobec tego wyglądam jak uosobienie egoizmu, co w każdym razie nie jest prawdą. Zazwyczaj pan obejmowałeś moją rolę, gdy gawędziliśmy z sobą. Co znaczą dzisiaj te głupstwa?... Rzecz ta nieodwołalnie skończona, a przyjm pan jedną dobrą radę przyjacielską: nie udawaj się pan do niej po wyjaśnienia, nie bierz na siebie roli opiekuńczego anioła, gdyż szczerze mówiąc, nic tem nie osiągniesz. Ona spali listy twoje, a gdy je przeczyta, wierzyć im nie będzie, gdy zaś odwiedzić ją zechcesz, drzwi przed tobą zamknie... Rozumie pan chyba, że mówię to dla przestrogi... Zostaw pan zatem Engelkę jej własnemu losowi, a szlachetność twoja niech szuka zadośćuczynienia w pewności, że Engelke zupełnie nie czuje się nieszczęśliwą i na los swój nie narzeka — przeciwnie...

— Zawsze jednak pozostanie Nörgaard owem szkaradnem indywiduum! — rzekł Bergström, chodząc po pokoju. Drwiące spojrzenie doktora ścigało go bezustannie. — To okropne! okropne! — powtarzał Bergström nieprzytomnie prawie.

— Nie wiem! — rzekł Pauli, wzruszając ramionami.

Bergström zwolna opuścił się na krzesło i z głową w tył odrzuconą, z rękoma nad nią splecionemi, długo tak pozostał.

Poczem znowu odezwał się doktor:

Wie pan, czemu najwięcej dziwiłem się w ciągu naszej rozmowy? Oto zauważyłem w panu, jakby chęć szukania sprawiedliwości wobec tej wyrządzonej panu krzywdy; każdemu słowu twemu towarzyszyło pewne, ledwo dające się odczuć przeświadczenie o zupełnej niewinności swojej, pewne patetyczne uderzanie się w piersi przy każdym wyrazie! Oto wizerunek twój moralny, który piętno swe nadał całej rozmowie ze mną. A to mnie dziwi. Chciał pan, zdaje się grać rolę męczennika sprawy, a rola ta bynajmniej dla pana się nie nadaje. Stanowczo nie jesteś męczennikiem, mój drogi, w każdym razie nim nie jesteś! Nörgaardowi los łaskawy pozwolił znaleść kogoś, kto w męczeństwo jego wierzy. W pańskie, zaprawdę, nikt nie uwierzy, a nawet pan sam nie wierzysz, jeśli trzeźwo tę rzecz rozpatrywać zechcesz...

— Co to ma znaczyć? — spytał Bergström.

Pauli uśmiechnął się drwiąco.

— Mój panie! gdzież podział się dzisiaj zwykły pański rozum, zapewniam pana, że go nie widzę; sądziłem, że wystarczy uwaga ogólna, bliższe wyjaśnienie zbyt byłoby banalnem.... Zresztą jeśli koniecznie tego sobie życzysz... A więc rozważ pan dokładnie, z czego się wyłonił cały obecny stan tej sprawy lub jej tragiczny charakter, jak pan się wyraża? na jakiej powstał podstawie? jaka jego geneza?... Zdaniem mojem zrodziła go chwila, w której Nörgaarda przed Engelką niesłusznie oskarżyłeś. Hinc illae lacrimae! ztąd wszystkie łzy pochodzą zarówno twoje jak i Engelki... Jeśli może pan rzecz tę wyjaśnić inaczej, chętnie słucham!

— Wszak to było prawdą, co jej wówczas powiedziałem! — zawołał Bergström.

(Dokończenie nastąpi).

chcą pozostać prawymi synami matki ojczyzny i chcą razem pracować z starym krajem, aby siebie i jego dźwignąć, aby ekonomicznie się podnieść, chęć do wspólnej akcyi i do pomocy bądź radą, bądź czynem. Dziś winien przemysł polski utworzyć na razie wystawę polską w Hamburgu, jako centrum akcyi eksportowej, a tam ująwszy kierownictwo doskonale w bardzo krótkim czasie posuwać się będzie mógł coraz dalej i dalej, stamtąd — bez frazesu — iskry do kraju pójdą podniecające nietylko przemysłowców do coraz większej pracy, ale rozniecające nowe siedliska ruchu przemysłowego i handlowego, pobudzające do objęcia nowych, nieznanych jeszcze w kraju gałęzi przemysłu, poprowadzi jednem słowem jak śmiały a wytrawny wódz do boju całą rzeszę ubogich Polaków do dobrobytu. Z wzrastającym dobrobytem ekonomicznym wzrośnie i powaga narodu i szacunek dlań. Nad ubogim Polakiem znęca się świat, z Polakiem otoczonym dobrobytem a przezeń i z nim oświatą, dorównywującym innym narodom, będzie się liczył każdy, chociażby wróg.

Podaję jeszcze jeden przykład. Otóż istnieje tu firma agenturowa, która jako reprezentantka 100 przemysłowców i kupców, krajowych niemieckich i zagranicznych, stałą utrzymuje wystawę wzorów i z wielkiem powodzeniem pracuje dla tych przemysłowców i kupców. Taką samą firmę wraz z wystawą powinni Polacy urządzić.

Zanim to się stanie, byłoby bardzo na czasie, gdyby zaraz jeden lub dwu wybitnych ekonomistów zwiedziło Amerykę a w drodze do niej Hamburg i Bremę w tym samym specyalnym celu, aby w Ameryce północnej i południowej nawiązać stosunki handlowe mianowicie w Nowym Jorku oraz w miastach jak Chicago na północy. Szczególnie ważnem zaś powinno na przyszłość niedaleką być zbadanie Stanu Parana w Brazylii. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej bowiem, bądźto wskutek wysokiej kultury, bądź wskutek nadzwyczajnej konkurencyi całego świata handlowego, bądź też wskutek ogromnych ceł ochronnych, konkurencya nasza będzie zawsze tylko słaba i wybicie się w jakiejbądź gałęzi przemysłu nader utrudnione, a często niemożliwe, gdy tymczasem w Stanie Parana sytuacya nam się przedstawia pod wielu względami nad wyraz przychylnie a grunt dla pracy ekonomicznej tak podatny, jaki może nigdy nam się nie nadarzy. W Stanie Parana bez wątpienia jest wielka przyszłość dla Polaków a na ten punkt ekonomiści nasi zwracają baczne oko od niedawna i słusznie. Tam Polacy skupieni, właściciele roli, na najlepszej drodze wybicia się ekonomicznie; środki komunikacyjne, dziś lubo niedostateczne, z każdym rokiem stają się dogodniejszymi, a z wzrostem ludności i eksportu wkrótce mogą się stać dobrymi. Stan Parana być nam powinien tem, czem Sycylia była dla Rzymian: śpichlerzem, Szwajcaryą polsko-amerykańską, pod względem ekonomicznym. *T. Filipowicz.*

SYLWETKI SZLĄSKIE.

I.

Bronisław Koraszewski.

Kilka tygodni temu, gdy bracia Galicyanie opuszczali mury grodu naszego, — gdy pozostawaliśmy jeszcze pod świeżem wrażeniem tak miłych sercom naszym odwiedzin, — jedno nazwisko było na ustach wszystkich: Bojko! Bo też postać tego chłopa-obywatela tak silnie zarysowała się na tle tej uczty braterskiej, tak imponowała swą nawskroś oryginalną indywidualnością, swą głęboką wiarą w świętość przekonań swoich, że stała jeszcze żywo przed oczami naszemi, gdy już kordon graniczny dawno zamknął się za gośćmi naszymi.

Dziś Poznań z takiem samem, jeżli nie z większem zajęciem mówi o innym gościu, o tym, który sprowadził do nas po długiej, bolesnej rozłące braci zapomnianych, o B r o n i s ł a w i e K o r a s z e w s k i m. Występował on wobec nas jak ów przewodnik na puszczy, który z narażeniem życia własnego zbłąkanych i już za straconych uważanych braci odszukał i napowrót żywych i zdrowych w objęcia nasze sprowadził. Radość, jaką w takich razach odczuwa człowiek na widok odzyskanych, — zamienia się w wdzięczność, w uwielbienie dla tego, który ich ocalił. Z takiemi też uczuciami spoglądaliśmy na tego skromnego pioniera naszego, i w lot pozyskał on sobie serca nasze.

Bronisław Koraszewski, to młody jeszcze pracownik na niwie pracy publicznej, a jednak już położył około przyszłości naszej niespożyte zasługi. Szlachcic z urodzenia, stał się apostołem chłopów. Dwie zwłaszcza cechy wybitne charakteru jego usposabiają go doskonale do tego tak trudnego a ciernistego zawodu: głęboka miłość ludu i wytrwałość niezłomna. Kocha on lud nietylko platonicznie, nietylko w myśl zasad demokratycznych, które wyznaje, ale praktycznie w całem tego słowa znaczeniu; żyje on nietylko dla ludu, ale i z ludem, bierze żywy udział w codziennych jego troskach i cierpieniach, jest mu przyjacielem, doradzcą, co więcej bratem prawdziwym, nie zapominając przy tem i o tem, że na stanowisku, jakie zajmuje, równocześnie powinien być jego przewodnikiem i nauczycielem. Życie jego, jak życie każdego prawdziwego i szczerego trybuna ludowego, szło i idzie ciernistą drogą, ale z drugiej znów strony nie poskąpiło mu i bujnych owoców, które każą mu zapomnieć o cierniach i głogach.

Wielce charakterystycznem dla osoby i działalności Koraszewskiego było zdanie, jakie do jednego z wybitniejszych mężów górnoszląskich wypowiedział czasu swego pewien radzca rejencyjny z Opola. Pan ten, także szlachcic urodzony, dbały wielce o godne reprezentowanie uprzywilejowanego pochodzenia, zapytany przez owego męża, co też sądzi o przywódzcy ruchu polskiego w Opolu, skrzywił się niesmacznie i z pewnem lekceważeniem odpowiedział: „E h! D e r v e r k e h r t n u r m i t B a u e r n, g e h t a u f B a u e r n h o c h z e i t e n, h ä l t d o r t R e d e n, u n d s i n g t m i t d e n B a u e r n!“ Biedny pan radzca nie przypuszczał widocznie, jak pochlebne świadectwo wystawił przez to „szlachcicowi-demokracie“! A pan radzca powiedział prawdę. Bronisław Koraszewski jest nietylko redaktorem pisma ludowego, nietylko piórem walczy o prawa ludowe i broni dobra jego, ale działa więcej jeszcze żywem słowem i osobistym przykładem. Właśnie osobiste jego stosunki z ludem, jego bezpośrednie stykanie się z tymi, którym przewodzi, czynią pracę jego tak wydajną i najpomyślniejszemi rezultatami wieńczą wszelkie jego zabiegi.

Przybył on na Szląsk, jeśli się nie mylimy, w roku 1888, jako młody człowiek, pełen ochoty do pracy, zapału i wiary, i już po krótkim tamże pobycie założył z kilku obywatelami Polakami ze stanu średniego w Królewskiej Hucie pismo ludowe: „Głos ludu górnoszląskiego“. Pismo to, jakkolwiek doskonale redagowane, z braku funduszów u nakładców i dla tego, że założono je tuż pod bokiem starego i bardzo rozszerzonego w tych stronach „Katolika“, nie istniało atoli długo, a do upadku jego przyczynił się głównie proces prasowy, jaki wytoczono redaktorowi za zbyt śmiałe skrytykowanie jednego z nowszych, a dla ludu niekorzystnych praw niemieckich. Pismo upadło a redaktor przecierpiał dwa tygodnie w więzieniu. Potem pracował przez czas pewien w red. „Katolika“ w Bytomiu. Na tem stanowisku założył on wraz z redaktorem Napieralskim, — było to po strejku r. 1889, — Związek wzajemnej pomocy robotników górnoszląskich, który dziś liczy już tysiące członków i rozwijając się pomyślnie, stanowi punkt oparcia w walce polskiego ludu roboczego z kapitałem niemieckim. Ale i tam nie przebywał długo. Opatrzność do innego, ważniejszego powołała go zadania. Opolskie, okolica najrdzenniej polska z całego Górnego Szląska, nie posiadała jeszcze wówczas ani polskiego pisma, ani żadnego innego ogniska, około którego skupićby się mogły żywioły narodowe. Coraz też częściej odzywały się ztamtąd głosy walczącego o mowę swą i narodowość ludu o przewodnika. Koraszewski usłuchał wezwania tego i w październiku r. 1890 założył tamże „Gazetę Opolską“. Z tą chwilą nowe życie zakwitło w tym prastarym grodzie polskim. Niebawem za staraniem redaktora powstało „Towarzystwo polsko-katolickie“, które liczy dziś do czterystu członków, urządza odczyty, teatra amatorskie, pogadanki i zabawy i łączy w sobie wszystkie inteligentniejsze żywioły z miasta i okolicy. Oprócz tego założył Koraszewski w latach następnych może z dziesięć innych towarzystw ludowych w powiecie w dalszych nawet okolicach, a wszystkie opierają się głównie na jego pracy i jego poświęceniu. W niedzielę prawie nigdy nie można go zastać w domu, bo zwykle przebywa na zebraniach. Najświetniejszym czynem jego jest przeprowadzenie wyboru posła p. majora Szmuli. Gdy szląskie arystokratyczne stronnictwo centrum, nie mogąc darować p. majorowi Szmuli, że tak energicznie w sejmie i poza sejmem przemawiał za historycznemi i językowemi prawami ludu polskiego na Szląsku, że zdemaskował hipokryzyę niektórych wybitnych działaczy centrowych, gdy za te „winy“ obaliło centrum kandydaturę p. Szmuli w Bytomskim okręgu, i gdy zdawało się już, że lud górnoszląski straci tego najdzielniejszego z wszystkich parlamentarnych obrońców swoich, dzielni Opolanie pod wodzą Koraszewskiego ofiarowali mu mandat w okręgu wyborczym opolskim. I pan major przeciwko woli większości księży i całej zniemczonej inteligencyi wyszedł zwycięzko z urny wyborczej, wprawdzie tylko kilku głosami większości, lecz gdy wskutek różnych manewrów przeciwników wybór jego unieważniono, — wybrał go lud opolski po raz drugi i to taką większością, że już przeciwnikom jego odeszła wszelka ochota do założenia protestu.

Poraz to pierwszy mieliśmy teraz sposobność przyjrzeć się bliżej ludowi górnoszląskiemu. Imponował on nam swą śmiałością, swobodą, otwartością swą i wysokim stopniem oświaty. Przekonaliśmy się też dowodnie, że twierdzenie nieprzyjaciół naszych, jakoby lud ten nie czuł się polskim, jest kłamstwem i oszczerstwem. W sercach jego takie samo gorące żyje przywiązanie do macierzy polskiej, do mowy i obyczajów ojców naszych, — jak w sercu każdego Krakowianina lub Wielkopolanina Nie ma więc między nami żadnej różnicy, — prócz tej chyba, że lud szląski dłuższy niż my przebył czyściec cierpień narodowych. Ale też z czyśćca tego wyszedł on zdrowszym na ciele i duszy, wyszedł silniejszym i wyniósł z niego większą odporność przeciwko grożącej mu nawale.

Że tak się stało, w tem niemała zasługa Koraszewskiego. On to przy pomocy takich mężów z ludu, jak Baron, Kirszner, Liguda przy pomocy kilku zacnych kapłanów, którzy mają odwagę płynąć przeciwko prądowi germanizacyjnemu, popieranemu nawet przez władzę duchowną, podniósł lud opolski, lud szląski do takiego poziomu dojrzałości politycznej i moralnej, że lud ten śmiało już każdej burzy spojrzeć może w oczy, bez troski o przyszłość. Jemu też w pierwszej linii zawdzięczamy, żeśmy się poznali na nowo, żeśmy na nowo zawiązali z bracią górnoszląską węzeł miłości. Bądź co bądź, odwiedziny Górnoszlązaków w Poznaniu były wypadkiem historycznej doniosłości. Zbliżyły one do siebie znów braci jednego narodu, których rozdzielały wieki całe walk braterskich i niepamięci. Oby połączenie to wydało trwałe owoce, abyśmy w przyszłości ramię przy ramieniu bronić mogli zagrożonego a wspólnego żnicza narodowego.

Cześć ci, zacny pionierze miłości bratniej na kresach górnoszląskich! Niech praca twoja zawsze tak błogie wydaje owoce, jak wydawała dotychczas, pracuj dalej z równą zawsze wytrwałością, a w pracy tej i w walce niech cię krzepi zawsze ta myśl, że Wielkopolska cała spogląda z dumą i wdzięcznością na syna swego, który na pustyni zapomnienia i niedoli zdołał odszukać ginących już braci, i znów ich przywieść w objęcia macierzy. Cześć ci i chwała!!

. . . ki.

Z tygodnia.

Po ciosach bolesnych, jakiemi były dla społeczeństwa naszego konieczność wydzierżawienia hotelu „Wiktoryi“, — tej podstawy bytu materyalnego sceny naszej, obywatelowi mojżeszowego wyznania, — a dalej sprzedaż Mileszew i niedostatecznie jeszcze napiętnowana sprzedaż Bielaw przez braci Szymańskich na kolonizacyą niemiecką, — odwiedziny braci górnoszląskiej stały się dla nas rosą ożywczą. Lud to polski, pochodzeniem, krwią i uczuciami, a jednak jakże odmienny od naszego! Prawdziwi między nami przyjaciele ludu znaleźli w gościach górnoszląskich uosobienie ideałów swoich, znaleźli chłopów, jakich mieć ich pragną, nie owych zafukanych, na widok surdutowca, pana, do kolan kłaniających się paryasów, ale prawdziwych obywateli, którzy czują się równouprawnionymi członkami społeczeństwa, obywatelami, którzy znając swą godność człowieczą, poszanowania tej godności od innych się domagają. Trzeba było słyszeć ich mówiących, rozprawiających; — z każdego zdania przebijała się rzadka u chłopów naszych dojrzałość, a wielu z nich odznaczało się wysokim stopniem oświaty, oświaty, nie wpojonej w szkole, lecz nabytej z własnego popędu, przez czytanie gazet i książek. I byli to niby apostołowie lepszej, szczęśliwszej przyszłości. Przekonali nas oni, jaką siłę potężną, niespożytą mamy w ludzie naszym, z ich twarzy, z ich ust; z ich zapatrywań i poglądów — przemawiała do nas Polska przyszłości.

Przyjęcie ich było serdeczne. Drugi zwłaszcza dzień zbratał nas z nimi, a zbratał pewnie na wieki...

Ale niestety te odwiedziny braci przez tyle wieków zapomnianej nie odbyły się i bez przykrego dysonansu, a dysonansem tym była w tej uczcie bratniej zupełna nieobecność przedstawicieli duchowieństwa, szlachty i tak zwanej wyższej inteligencyi naszej. Duchowieństwo trzymało się zdala od gości, unikało ich jak najstaranniej jakby koniecznie chodziło mu o to, aby ci bracia nasi, którzy i tak już cierpią niemało wskutek wrogiego zachowania się względem ich ideałów narodowych większej części własnego duchowieństwa, i z Poznania bolesne wywieźli wrażenie. Nawet w kościele św. Marcina, którego proboszcz, jak nam zapewniano, dość wcześnie był zawiadomiony o przybyciu gości i proszony tylko o odmówienie z nimi krótkiej wspólnej modlitwy, nie pojawił się wcale...

Brak inteligencyi również przykre wzbudzał uczucia. Przekonaliśmy się i tym razem dowodnie, że hasła demokratyczne i owe szumne frazesy o miłości ludu, jakiemi sypie jak z rękawa inteligencya nasza, są rzeczywiście tylko czczemi frazesami bez najmniejszego znaczenia. Gdy chodziło o zamanifestowanie tej miłości dla ludu, o podanie dłoni braciom z ludu, o zawiązanie węzłów jaknajserdeczniejszych, — inteligencya nasza świeciła nieobecnością.

Jakże tu nie pisać satyry!

Przykre to, ale dzięki Bogu nie zanadto szkodliwe. Życie nasze narodowe potoczy się nową koleją, skoro nasz lud dojdzie do tej samej dojrzałości, na jakiej dziś już znajduje się lud górnoszląski. Procesu przeistoczenia się społeczeństwa naszego żadna reakcya powstrzymać nie zdoła. Ci zaś, którzy dziś nie pojmują znaków czasu lub zrozumieć ich niechcą, nie będą mieli prawa skarżyć się, jeżeli proces ten przejdzie zwycięzko ponad ich głowami.

?

KRONIKA LITERACKA.

Tadeusz Wojciechowski. O Piaście i piaście. Kraków, nakładem Akademii umiejętności, 1895, str. 51.

Legenda o Piaście przechowała się w dwóch postaciach: w kronice Galla i t. zw. kronice wielkopolskiej. Pomijając zachodzące pomiędzy niemi różnice, godzą się obie legendy na to, że Piast był biednym rolnikiem, ratajem książęcym, i że podczas pobytu u niego pi lgrzymów rozmnożył się cudownie pokarm i napój. Uczony historyk stara się wytłómaczyć tę legendę, której źródło upatruje w prastarej aryjskiej baśni o biednym i miłosiernym, a za gościnność cudownie nagrodzonym gospodarzu; za najbardziej spokrewnioną z nią uważa grecką powieść o Filemonie i Baucydzie. Znalazłszy w źródłach XII i XIII w. wzmianki o urzędnikach dworskich, zwanych paedagogus albo metritor, sądzi, iż po polsku nazywali się oni piastunami, a przez skrócenie piastami, a pełnili mniej więcej ten sam urząd, co majordomi na dworze królów frankońskich. Wnioski dr. Wojciechowskiego, wysnute z rozumowania, opartego na materyale historycznym i etymologicznym, streszczają się w dwóch punktach: a) że nie było imienia osobowego Piasta, a był tylko urząd piastów; b) że ojciec historycznego Ziemowita, a raczej on sam, był piastem poprzedniego księcia. W legendzie, podanej przez Galla, widzi dr. W. tendencyę polityczną: Piastowie dostąpili do tronu przez zamach na Popielów i w interesie ich leżało pokryć cudownością początki swej dynastyi.

* * *

W Warszawie pod redakcyą p. Fr. Karpińskiego wychodzić będzie „Cyklista“, pismo poświęcone sportowi. — P. Stanisław Jakubowicz opracował dziełko „Zarys przędzenia wełny czesankowej“ a wydał je p. Hipolit Wawelberg. — Maryan Jasieńczyk wykończył w Genewie powieść ze stosunków ludowych „W Wielgiem“. — Pp. Jan Karłowicz, Adam Kryński, Władysław Niedźwiedzki, Józef Przyborowski, rozpoczęli wydawnictwo „Słownik języka polskiego“, którego arkusz próbny, dla wywołania uwag, puszczony został z druku. — Ukazał się już przekład francuzki Sienkiewiczowskiej powieści „Bez dogmatu“ wykonany przez hr. A. Wodzińskiego.

* * *

Zatarguczonych. Prof. J. J. Boguski opowiada w „Tygodniku Ilustrowanym“ o świeżym zatargu, który miał miejsce pomiędzy najznakomitszym ze współczesnych naszych przyrodników, prof. Olszewskim, a jakimś wyjątkowo zaborczym uczonym angielskim, Dewarem. Szło o to, który z uczonych posiada prawo pierwszeństwa (Prioritätsrecht) w kwestyi odkryć, porobionych w dziedzinie skraplania gazów trwałych (tlen, azot, wodór itp.). Nasz uczony zaprotestował w poważnem czasopiśmie „Nature“ przeciw przywłaszczeniu sobie jego odkryć przez Dewara. Dewar odpowiedział wyniośle i ironicznie, zaznaczając, że wiedzy swej nie czerpał z „Bulletin de Cracovie“. W obronie Olszewskiego powstał przeciw Dewarowi uczony Pattison Muir z Cambridge, wykazując szeregiem zestawień chronologicznych prawo pierwszeństwa naszego uczonego. To wystąpienie w obronie cudzoziemca dowodzi wysokiego poczucia sprawiedliwości, którem zaprawdę poszczycić się mogą uczeni angielscy.

* * *

O p. Wyzewie. Do lwowskiego „Przeglądu“ piszą z Paryża: Zrehabilitowany we Francyi Wagner ma także wielkiego przyjaciela w naszym rodaku p. de Wyzewie, stałym współpracowniku pierwszorzędnych pism francuzkich. P. de Wyzewa wygłosił niedawno w Genewie szereg publicznych odczytów, które były jedną apoteozą Wagnera i jego kierunku. Na innych kompozytorów za to jest p. de Wyzewa bardzo niełaskaw. I tak: Masseneta nazwał „miłym gitarzystą“, marnującym talent zbytkiem produkcyi; o Verdim powiedział, że „na starość usiłuje odkupić sześćdziesiąt lat mizernej swojej działalności“; Mayerbeera nazywa „maszyną“, a o Mascagnim, który „tremolandami wywołuje efekty dramatyczne“, wcale nie chciał mówić. Jeden Smetana wyszedł cało z tej łaźni wagnerowskiej. P. de Wyzewa unosił się nad czeskim kompozytorem, mianowicie nad temi jego operami, które, jak „Dalibor“, były wzorowane na Wagnerze. Podobno jednak publiczność w Genewie nie okazywała wielkiej solidarności z poglądami p. de Wyzewy.

* * *

Niewydane poezye Goethego. W stowarzyszeniu wielbicieli Goethego w Wejmarze p. Suphan odczytał seryę poezyi miłosnych Goethego, nieznanych dotychczas i nie ogłoszonych drukiem. Wiersze zawarte są w rękopisie, noszącym tytuł „Annete“. Pod tem imieniem należy rozumieć pannę Annę, Katarzynę Schönkopf, której poeta oddał serce na... kilka tygodni. Znalezione przez Suphana wiersze są prawdziwemi utworami młodzieńczemi, wśród których zwrotka „Do moich piosenek“ jest istotną perłą poetycką. Znajdujemy tu dalej fantazyę „Sen“, elegię „Na śmierć brata mego przyjaciela“, mianowicie Behrischa, który wywierał wpływ bardzo ujemny na młodość poety. Nadto zbiorek zawiera tłómaczenia z Voltaire'a „Aus dem französischen des Herrn v. Voltaire“. Dedykacya „Annety“ brzmi jak następuje:

Es nannten ihre Bücher
Die Alten sonst nach Göttern
Nach Musen und nach Freunden,
Doch keiner nach der Liebsten;
Warum soll't ich, Annete,
Die Du mir Gottheit, Muse
Und Freund mir bist, und Alles,
Dies Buch nicht auch nach Deinem
Geliebten Namen nennen?

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** Namiestnik Galicyi, hr. Badeni, powołany został telegraficznie do Wiednia. Wiedeńskie dzienniki wyrażają przypuszczenie, że nominacya hrabiego Badeniego na prezesa ministrów jest bardzo bliską. — Izba belgijska uchwaliła wszystkie trzynaście artykułów ustawy szkolnej, wraz z licznemi wnioskami dodatkowemi. Trzecie czytanie ustawy odbędzie się dopiero wówczas, gdy deputowani otrzymają w druku cały projekt, wraz z uchwalonemi wnioskami. Komitet jeneralny, który się zajmował organizowaniem manifestacyi przeciwko ustawie szkolnej, postanowił prosić o audyencyą u króla, ażeby wyjaśnić, że projekt szkolny narusza konstytucyą. Komitet chce przedsięwziąć także kroki, aby senat ustawę odrzucił. — Domniemany następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este, zachorował na katar płuc. Cesarz udzielił mu dłuższego urlopu dla przyjścia do zdrowia. Arcyksiążę zamierza spędzić zimę na zamku ojca swojego, arcyksięcia Karola Ludwika, Rottenstein pod Meranem. Do ostatnich dni o chorobie jego nic nie wiedziano w szerszych kołach. — Wojska angielskie zabierają się do wspólnej akcyi z Włochami, celem obsadzenia Kassali i Zeili. — John Redmond w mowie do wyborców oświadczył, że skoro Anglia odmawia minimum ustępstw home-rule'u, trzeba zerwać Irlandyi z jej rządem. Sesya parlamentu została otwartą. — Rząd węgierski pozwolił na odbycie w d. 10, 11 i 12 b. m. w Peszcie kongresu narodowości niewęgierskich, na który zaproszenia podpisali: Mangra, Mundron (z Turocz St. Martin), dr. Emil Gavrila, Józef Svelka, Andrzej Rafaj, Peweł Jakob w imieniu Rumunów, Serbów i Słowaków. Pierwsze posiedzenie otwarto mową Mangra i uchwalono lojalny adres do króla; żądania kongresu wyłożono w 21 punktach. — Przy wyborach do rad departamentalnych zyskali republikanie francuscy skutkiem sojuszu z monarchistami, olbrzymią większością 90 nowych mandatów, a socyaliści zupełnie przepadli. — Eskadra hiszpańska, złożona z sześciu okrętów wojennych, zbiera się pod Tangerem, gdzie przebywają jednocześnie cztery okręty angielskie a bawią już statki niemieckie; celem tej demonstracyi jest podobno wymuszenie na sułtanie przyjęcia stałych konsulów w Fezie, na co już Francya uzyskała zezwolenie. — Podobno powstańcy na Kubie pobili na nowo wojska hiszpańskie.

*** Teatr i muzyka.** Gabryela Zapolska po ukończeniu występów na scenie warszawskiej gościć będzie w teatrze łódzkim. — P. Józef Adamowski, wiolonczelista dotąd bawiący w Ameryce, przyjął miejsce profesora w konserwatoryum w Saratowie. — Mira Hellerówna przybyła do Krakowa na szereg występów gościnnych w operze; tamże wystąpiła p. Kamilowa w „Trawiacie“ i tenor Lewicki w tejże operze. — Pan Barabasz zamianowany został kierownikiem opery krakowskiej jesiennej, której imprezę przedsięwziął p. Pawlikowski. — Michał Bałucki pisze w Marienbadzie nową komedyę „Feministki“. — Podobno Jan Gall zamierza przesiedlić się z Krakowa do Monachium, gdzie ma objąć profesurę w szkole śpiewu — P. Wanda Stojowska zaangażowaną została na cały sezon do paryskiej opery komicznej przez dyr. Carvalho. — Andrzej hr. Fredro (syn Jana, wnuk Aleksandra) napisał fraszkę sceniczną „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, którą grano w teatrze u wód w Krynicy. — Nowy balet „Laurin“ z muzyką Moszkowskiego, wystawiony będzie w berlińskim teatrze Krola.

Zmarli:

*** Grabowski Jan**, kompozytor muzyczny, w 21 roku życia w Krakowie.

*** Robert Tobevenz**, wybitny rzeźbiarz niemiecki, profesor w Berlinie, tamże 31 lipca.

*** Marya Giemtini**, z domu Grzymalanka, tłómaczka niektórych utworów Sienkiewicza na język włoski, w Genewie.

*** Jenerał Karandiejew**, dyrektor teatrów warszawskich.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.